

Antoni Michalczuk "Szpak".

## ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się w 1923 r. w Domanowie koło Brańsąka. Pamiętam jak sowieci weszli do Domanowa 14 października 1939 r. Pomagałem wtedy przy kościele to zdziwiłem się bo proboszcz jeszcze czerwoną flagę wywiesił. Przyszli w takich obszarpanych szynelach. Jeden zaszedł do mojej gospodyni i mówi: Chaziajka, imiejesz sało?. Ja dwadcat liet sała nie widzieł.

Potem zaczęli interesować się co kto robi i wywieźli nauczycielkę z naszej szkoły, ~~xxxx~~ Jej mąż był kierownikiem tej szkoły. Przed wybuchem wojny został zmobilizowany. Dostał się do sowieckiej niewoli i zginął w Katyniu. Do ich córki smaliłem cholewki, więc tym bardziej jeszcze żałowałem, że je wywieźli. To było chyba w 1940 r. My też byliśmy przeznaczeni do wywiezienia. Mój ojciec był ochotnikiem z 1919 r. Był legionistą. Odznaczony. Miałem też rodzeństwo. Dwie siostry i trzech braci. Jeden z nich nie wrócił z robót w Niemczech. Był tam dwa lata i ślad po nim zaginął. Szukaliśmy przez czerwony krzyż i nic to nie dało. Był dwa lata młodszy ode mnie.

Żydki z Brańska służyli w armii sowieckiej. U nas we wsi mieli oni razem z sowietami punkt kontrolny. Przyszli któregoś razu. Przyszli któregoś razu do nas. Jeden z nich zobaczył obraz Matki Boskiej na ścianie i mówi: Po co to wisi. Muchy tylko srają na obraz. - Wtedy matka odpowiedziała: A na waszego Stalina to muchy nie srają? - Nu wot, my was wywieziem - zagroził Żyd. - Matka zdenerwowała się i mówi: Tydzień może nie minie a szlag was trafi. No i trzeba było trafu, że za tydzień w niedzielę Niemcy uderzyli na nich, a ten Żyd przyszedł do matki za tydzień czy dwa i pyta się: Nu, a skąd pani wiedziała. Żydzi przedtem to się chwalili, że: Teraz nasze Kamienice, a wasze ulice.

Jak były wybory w 1939 r. to na deputata do sowieckiej Rady Najwyższej wystawili pastucha takiego co to nie umiał czytać i pisać. Był wiec. Zbudowali trybunę specjalnie. Ten pastuch wszedł na tę trybunę i zaczął przemówienie: Ja tu wlaż... i się zaciął, ... żeby zlaż - ~~pa~~ dodał i tak skończył to przemówienie. Tacy to byli deputaci.

Jednego to aresztowali. Nazywał się Pietraszko. Był z mego rocznika. Ktoś z jego dalszej rodziny doniósł na niego, że ma broń. Sowietci urządzili mu publiczny proces w Domanowie. Dostał dożywocie. Pietraszko wtedy - myśląc, że może w ten sposób jakoś sobie pomoże, krzyknął: Niech żyje Stalin!. - Pomyślałem sobie wtedy: Pomoże ci to jak umyrtłemu kadzidło. I rzeczywiście. Wywieźli go i już nie wrócił stamtąd.

---

Jak wybuchła wojna to miałem już ukończone trzy klasy gimnazjum w Drohiczynie. Uczyłem się tam na duchownego. Ojciec płacił miesięcznie 65 zł czesnego i przez to popadł w długi. Mieszkałem tam w internacie.

Najpierw do szkoły chodziłem w Domanowie. Po skończeniu 6-ciu klas przeniosłem się do Chodyszewa, żeby dokończyć naukę w szkole powszechnej. Pomagałem sobie w ten sposób, że pomagałem sklepiękarzowi w sklepie za 15 zł miesięcznie.

To gimnazjum w Drohiczynie było humanistyczne. W 1939 r. zapowiedziano nam już, że kto będzie się uczył na księdza to zostaje, a reszta będzie musiała zmienić szkołę. Po tym 4-ro letnim gimnazjum trzeba było jeszcze uczyć się 2 lata w liceum.

Mój ojciec był rolnikiem. Jako ochotnik 1919 r. chciał wyjechać na Wołyń, żeby tam dostać ziemię. Na szczęście wcześniej pojechał tam jego kolega, to ledwo uciekł z życiem stamtąd. Mat-

~~ka wił~~

ka więc nie zgodziła się i tak zostaliśmy w Domanowie. Ojciec był założycielem koła narodowców we wsi. Należało do niego gdzieś z połowa mieszkańców - koło 50 osób. Ojciec był prezesem tego koła. Jakiś student przyjeżdżał w tych sprawach do ojca bardzo często. Zebrania odbywały się w szkole, która z kolei mieściła się w prywatnym domu, gdyż poprzedni budynek szkolny spalił się. Jakiś sklepikarz postawił duży piętrowy dom i tam mieściła się ta szkoła. Ojciec był aż do wojny był prezesem tego koła.

Mimo, że zapowiadało się na wojnę to ojca nie zmobilizowali, co prawda z tych co byli zmobilizowani to niektórzy wrócili do domów , chociaż wojna jeszcze trwała. W kilka dni po wybuchu wojny jeździłem z koniem do lasu pod Brańskiem na koncentrację. Miałem tam zdać konia do wojska, ale nie przyjęli go, bo wydawał się im za ~~stary~~ stary, chociaż to była ładna kobyła. Na miejscu już sporo było koni. Takich jak ja też trochę było. Wracaliśmy więc na furmankach do domu. Jeszcze w lesie zaskoczył nas nalot. Gdy wróciliśmy do domu to Brańsk już płonął.

---

Brańsk to prawie cały był żydowski przed wojną. Żyd na kolonii koło Chodyszewa miał młyn to narodowcy poszli w nocy i spłonili i zwalili go. Było przecież to hasło: Bij Żyda. W 1938 i 1939 r. narodowcy urządzali bojkot sklepów żydowskich, z policją bili się. Wtedy hrabia Potoscki z Rudki, wójt Brańska, wyszedł na ulicę z gminy, a że chodził jak chłop, zawsze w porwanym kożuchu to wyglądał czasami i gorzej jak zwykły chłop, to trafił właśnie na taką walkę narodowców z policjantami i dostał pałą w łeb od policjanta. Hrabia zaprowadził tego policjanta na posterunek i powiedział do niego: Ciebie nie będę karał. Kto

inny polecą - irzeczywiście starosta z Bielska poleciał, bo to on wydał odpowiednie zarządzenie, ale co z tego, skoro hrabia po kilkunastu dniach zmarł w wyniku tego uderzenia. Miał koło 50-ciu lat. Ci policjanci przyjechali ze szkoły policyjnej w Mostach. Byłem teraz w Mostach (koło Grodna) i pytałem się gdzie była ta szkoła, ale nikt nie wiedział.

Sowieci postawili we wsi drewniany punkt obserwacyjny. Skończyli budować go w sobotę. Akurat było to w same żniwa. W nocy ktoś naznosił snopków zboża i spalił ten punkt.

Jak Sowieci uciekli to ludzie znaleźli spisy tych, którzy już w poniedziałek - a wojna ~~wybuchła~~ wybuchła w niedzielę - mieli być wywiezieni. Pod listą figurowały podpisy tych, którzy ją przygotowali. Nic im specjalnie nie zrobiono, ale okna to powybijano. Właśnie przewodniczący sielsowietu ściał się ze mną i nazwał mnie świętoszek. On już nie żyje. Nawet po wojnie to poszedł na UB i powiedział, żeby mnie aresztowali, bo ja mam kochankę w banku i dzięki temu kradnę z banku pieniądze, co ona właśnie mi ułatwia. Milicja przyszła do mnie i wręczyli mi wezwanie na posterunek w Brańsku. Zaszedłem i mówię: Proszę zrobić remanent w banku i okaże się kto brał pieniądze. I dali mi spokój.

Za Sowietów to w Rudce uczyłem się u organisty na organistę. Kościelnego z Rudki obłożyli podatkiem to ten wziął i napisał do Stalina i ten zniósł mój podatek. Nazywał się Skwarkowski. Po wojnie ściał się z księdzem i przeszedł do Suraza. Tu, w czasie sianokosów, gdy robili u księdza na polu, to wiózł im na Łódce jedzenie i utopił się. Może się napił gdzie.

Jak Niemcy uderzyli to było duże zaskoczenie u Ruskich, chociaż nie



ciaż nie wiem dlaczego, bo już wcześniej dawało się wyczuć napięcie u nich. Jakby byli w stałym pogotowiu. Zaczęli nosić hełmy, odpoczywali w okopach, poruszali się poboczami dróg. Atak nastąpił skoro świt a oni mówili, że to bolszoje maniówry. Dopiero jak kamandir pobiegł do Brańska i przybiegł stamtąd to zaraz podpalił papiery i mapy. W rubaszce miał gdzieś zaszyty medalik, nałożył go i wszyscy poszli w las. Było ich 7-miu. Jeden z nich to był enkawudzista, ale był nieszkodliwy. Mieszkał u Boncerka. Dzieci pochrzcił w kościele. Jak widziałem, to jego żona nieraz oficjalnie była w kościele. No i durny poszedł Niemcom się pchwalić, że on był w NKWD, ale nikomu nie szkodził, a Niemcy wzięli go i zastrzelili. Wieś była dosyć zgrana, chociaż byli oczywiście i tacy co donosili jak np. nasz sąsiad, którego podpis widniał na liście ~~przeznaczonych~~ mieszkańców przeznaczonych do wywózki.

Jak była żandarmeria niemiecka to u nich był taki Erwin, to mówił: Za ścianą to możesz robić co chcesz, jak wasi nie przyjdą i nie powiedzą, to ja nic nie wiem i nic nie będę robił. Tak więc żandarmeria była we wsi i nic nie robili. Jeden spróbował i poszedł do nich z donosem, to jak mu wpiernicz spuścili, to tylko kurz za nim poszedł. To byli już starsi faceci, więc nie mieli ochoty szkodzić nam. Chcieli mieć spokój. Wystarczyło im, że najedzą się i napiją.

W Brańsku był specjalny obóz dla robotników, którzy budowali szosę z Brańska do Olmont. Komendantem tego obozu był niejaki Knut. Wszyscy robotnicy mieli szare ubrania i furażerki. Trafiłem do tego obozu w kilka miesięcy po przyjeździe Niemców. Razem ze mną byli m.in.: Falkowski (już nie żyje) i Kozdroń. Ten to

to już po wojnie nasi go zabili. Ożeniony był w Brańsku. Nikt nie wiedział skąd on był, skąd pochodził. Już za sowietów tu się kręcił. Ładnie grał na wszystkim, to nawet czasami przychodził do kościoła i zagrał. Mój kolega zabił go zaraz po wojnie. Nie wiem dlaczego. To było gdzieś w 1944 r. No i tego Niemca, który kierował tym obozem zabili. Wtedy padł strach na ludzi z pobliskich wiosek, bo przecież wiadomo było, że Niemcy palili wioski i rozstrzeliwali ludzi za takie rzeczy. Rozpytywali wtedy m.in. Kozdronia czy nie wie kto to, ale nic nie powiedział. Zresztą żandarmeria była w porządku, dzięki temu nikomu włos z głowy nie spadł. MNie np. ktoś wsypał, że mam niemiecki rower. Przyszli wtedy do mnie i ~~pxx~~ znaleźli mięso. skąd? - pytają. - A kupiłem w Brańsku na targu. - A od kogo? - Nie znam. - A rower?. - Rower mnie Niemiec dał, jak był front. - I to żandarmom wystarczyło. Więcej mnie nie pytali i poszli sobie. Jeździłem na tym rowerze na naukę gry do sąsiedniej wsi 7 km. Potem w Domanowie też przecież mogli mnie aresztować. Idę czasami ulicą, niosę pod pachą nuty, ~~x xxx~~ mijam ich i nic.

Tego Niemca, kierownika ~~xxx~~ obozu, zabili już latem 1944 r. Jak mówili ludzie przyjechało 3 na koniach na plac budowy i zabili i pojechali z powrotem. To był kawał drania. Zasłużył sobie na to. Do tego obozu poszedłem jak sołtys powiedział, że wszyscy z mego rocznika muszą tam iść pracować. To było gdzieś pod koniec 1941 r. lub w 1942 r. Ten Niemiec to tylko przyglądał się wszystkim jak pracują, stał uderzając taką pyłką o cholewę buta i jak tylko coś mu się nie spodobało to zaraz okładał delikwenta tą pyłką. W tym obozie nie spędziłem nawet dnia, bo jak tylko przyszedłem do pracy to coś mu się nie spodobało u mnie i rzucił się z tą pyłką do mnie, więc ja - dużo się nie namyślając -

jąc - rzuciłem się do ucieczki. Wskoczyłem na płot, x jeszcze zdążył zahaczyć pyta o płot koło nogi, i zeskoczyłem na drugą stronę i x uciekłem. Szkoda mi było nauki gry na organach, bo już sobie zahaczyłem się o parafię. Nienawiele mi to pomogło, bo w 1943 r. i tak mnie wywieźli na roboty do Niemiec pod Królewiec. Wzięli mnie z Klich. Byłem tam wtedy za organistę, bo poprzedniego zastrzelili Niemcy, gdy uciekał przez Nurzec i po drugiej stronie przytrzymał go m pastuch, który akurat pasł tam owce. Nabiegli w tym czasie Niemcy i zastrzelili go.

Pod Królewcem zawieźli nas do lagru. Pracowaliśmy tam dla firmy Richert Anders. Tam pędzili nas do roboty. Pracowaliśmy od godz. 6-tej rano do 3-ej po południu w tartaku. Praca była tak ciężka, że pot oczy nieraz zalewał i oczy piekły. Zupa to była zwykle kasza z robakami, ale cóż było robić. Trzeba było przecież jeść. Na szczęście mój brat też był w tych okolicach na robotach, tyle, że pracował poza miastem u gospodarza. Dowoził żywność na lotnisko, bo gospodarze byli obowiązani do szarwarku, więc brat mógł ukraść to chleba to kiełbasy i podrzucał mi od czasu do czasu. Dla bezpieczeństwa nie nosił litery P. Jednak któregoś wieczora zauważył go lagerführer. Akurat brat podawał mi przez płot worek z jedzeniem, gdy lagerführer wyjrzał zza barku i m kiwając palcem na nas mówi: Kom, kom. - Uciekaj krzyknąłem do brata - bo będzie koniec. Niemiec zabrał mi worek, w którym były chleb, ogórki, ziemniaki, kiełbasę i zabrał mnie do siebie: Skąd to masz? - pyta się x - Kto to był. Na rowerze i bez P. - Nie znam - odpowiedziałem. - Dostaniesz dobrze po dupie to zaraz się przyznasz. - No nie wiem kto to. Przyszedł facet i dał. - Kiełbasa wojskowa, chleb wojskowy, ogórki na kart-

ki, ziemniaki na kartki, to co? Kradzione?. - Brata przecież nie zdradzę - pomyślałem sobie - ale za to jeszcze mocniej oberwę. Puścił mnie do baraku. ~~Na~~ Noc już jednak miałem nieprzespaną, bo wiadomo, bałem się tego, co to będzie następnego dnia. Rano poszedłem jeszcze do tego lagerfuerehra i mówię, żeby chociaż mi chleb oddał, bo jestem głodny i nie mam co jeść. A on wziął i oddał mi ten chleb i nic nie powiedział. Gdy tydzień minął spytałem się Polakak, który sprzątał u niego, co się dzieje, że zapomniał chyba o mnie czy co. Durny - odpowiedział - on już dawno zjadł tę kiełbasę i zapomniał o tym.

Innym razem przyszedł do mnie do firmy gość w cywilu i pyta się czy ja umiem po niemiecku. Nie - odpowiedziałem. Więc ten wziął tłumacza i mówi do mnie ~~ka~~: Komm. - Patrzą, idziemy na policję. Myślę sobie co za licho?. No i jeden przez tłumacza pyta się: No i co. Chcieliście podobno pół Królewca kupić. - Jakim cudem? Za co? - zastrzelił mnie dokładnie. - Kłamiecie. Kto wam dał 500 marek? - a u nich 500 marek to była kupa forsy. - Tam, gdzie pracowałem jako organista miałem marki. 100 metrów żyta u nas kosztuje 100 marek. No a mnie płacili żytem. Prosiłem ich, żeby sprzedali 500 metrów tego żyta i stąd te 500 mk, które mi przysłali. - Facet posłuchał, pokiwał głową i mówi: No, może to i prawda, ale wy tych marek to nie dostaniecie. Te marki będą u waszego lagerfuehrera. Jak ~~x~~ będzie wam potrzeba to on wam da. - No i po jakimś tygodniu zachodzę do niego, żeby dał mi na piwo, bo po drodze, jak szło się do lagru była piwiarnia. Dał mi parę marek, ale gdy zaszedłem do niego po raz drugi to ten jak krzyknął na mnie: Jak ja wam dam piwo, to się wam odechce! - i na tym się skończyło.

Niedługo po tym amerykanie zbombardowali Królewiec. To my zamiast gasić palące się szopy to jeden drugiego oblewał. ~~Mo~~ było



w sierpniu 1944 r., w nocy z soboty na niedzielę. Pół Królewca wtedy zbombardowali. To był taki pierwszy nalot, bo do tej pory to Ruscy tylko zawsze gdzieś indziej lecieli. Co najwyżej ubi-  
kację zbombardowali, bo w Królewcu była zawsze bardzo silna za-  
pora przeciwlotnicza i zamaskowane lotnisko, tak więc te samo-  
loty latały nad Królewcem bardzo wysoko, tak, że pociski arty-  
lerii przeciwlotniczej nawet do nich nie docierały. To ten sa-  
molot latał tak ze dwa tygodnie. Potem po dwóch tygodniach jak  
raz na mnie przypadł dyżur. Płaszcz nałożyłem i poleciałem a  
Niemcy już w hełmach byli. Dali i mnie i kazali do bunkra się  
schować. Stała tam strażacka pompa. Patrząc, tylko ~~pan~~ wióry się  
sypią. Jak bomba wybuchnie, to wszyscy Niemcy tylko siadają  
na ziemię, a nasi po cichu mówią: Dobrze, dobrze. Jak raz w tę  
sobotę tak się napracowałem, że kląłem: A żeby was cholera wzięła  
żeby to wszystko popaliło się. No i tak wyszło, ale potem było  
jeszcze gorzej, bo wywieźli nas na tyły frontu do kopania oko-  
pów. Zrobili z nas taką karną kompanię batalion. Ręce miałem  
odmrożone i popuchnięte. Do domu to wróciłem zapuchnięty cały.

Wywieźli nas na Litwę i Łotwę. W Tylży byłem dwa razy. Za  
pierwszym razem, gdy tam byłem, to jeszcze stała, gdy byłem  
drugi raz to zastałem tylko ruiny. Była całkowicie zrównana  
z ziemią. W listopadzie trafiliśmy nad zalew. Spaliśmy tylko  
w stodołach po całodziennym taplaniu się w błocie. Cały czas  
byłem kompletnie przemoczony, a nic nie miałem, co można by  
było narzucić na siebie. Jedzenie też było podłe, bo na śniada-  
nie dostawaliśmy tylko kubek kawy i trzeba było potem cały dzień  
kopać rowy, a tu i samoloty latały nad nami, bo to przecież tuż  
za frontem było. Niejeden raz byliśmy też ostrzeliwani przez  
artylerię sowiecką, której pociski przenosiły nad frontem i do-  
cierały

cierały aż do nas. To dobrze jeszcze było jak było gdzie głowę schować. Wieczorem przychodziliśmy zmęczeni i zmoknięci spać do stodoły. W dzień Niemcy dawali nam obiad na który składały się: brukiew, konina, kawałek chleba i wszystko to w malutkich ~~porcjach~~ porcjach. Na kolację znowu kawa i kawałek chleba. To wieczorem musieliśmy tak oszczędzać na jedzeniu, żeby chleba wystarczyło nam jeszcze na śniadanie. Czasami nawet po oborach spaliśmy.

Niemcy, mieszkańcy wiosek, to już byli ewakuowani, tak, że czasami coś się ukradło, a to ziemniaków, a to buraka urwie. Raz to nabawiłem się biedy. Zobaczyłem jak oficer wyszedł na podwórze, potarł ziemniaka o rękaw jak jabłko i zjadł. To oficer zjadł surowego ziemniaka a ja nie zjem - pomyślałem sobie, więc i ja zjadłem. Jak mnie zaczęło piec w ~~uszach~~ uszach. Żeby chociaż doczekać wieczora, to podadzą tej kawy-lury, żeby chociaż trochę się napić. Wtedy nie wiedziałem o co to chodziło, a on zjadł tego ziemniaka, żeby dostać gorączki, żeby zwolnili go z frontu może. A był ze mną taki kolega ze Szmurłów, który nosił ze sobą suchary, to nie dał ani jednego. Prawie wszystkie przyniósł do domu. Z naszej paczki - czterech nas było - jednego Niemcy zabili. To było wtedy gdy przez 6 dni już nie dawali nam jeść. To było na Wszystkich Świętych w listopadzie. Wozili nas z miejsca na miejsce. Staliśmy wtedy na stacji w pociągu a obok nas stał pociąg wojskowy i kolega z Załuskich razem z jednym Ruskim poszli tam i ukradli wiadro marmolady. Niemcy złapali ich i następnego dnia poprowadzili ich do lasu obok. Przez okno widziałem jak kolega całował Niemca po butach ale to nic nie pomogło. Zaraz usłyszałem strzały i Niemcy wrócili sami. A nieraz mu mówiłem ~~żeby~~

żeby nie zadawał się z Ruskimi, bo źle na tym wyjdzie. Im to wszystko jedno było. Na początku to oni do niczego nie przyznawali się, więc Niemcy ~~xxx~~ wygonili nas wszystkich z wagonu i postawili pod ścianą i dali ~~im~~<sup>nam</sup> pół godziny do namysłu, żeby winowajcy się sami przyznali, bo inaczej wszystkich rozwalą. Niemcy nie wiedzieli kto to zrobił. Wiedzieli tylko, że to był ktoś z naszego wagonu. No i wtedy obaj przyznali się.

Stamtąd zawieźli nas z powrotem do Tylży i tak powiedzieli: Wykopiecie okopy, dostaniecie chleba. Tak ganiali nas jeszcze dwa miesiące. Przerzucili nas bliżej Królewca. Tam w wiosce nalapaliśmy trochę kur, bo Niemcy nie zdążyli się jeszcze ewakuować. Zimą oczyszczaliśmy okopy ze śniegu i któregoś dnia jak obudziliśmy się zobaczyliśmy nagle, że już nie ma komu nas ganiać.

Kilka dni przedtem spotkaliśmy Kirgizów. To ci zabili dla nas świniakak i tak, żeby Niemcy tego nie widzieli, poczęstowali nas talerze kazali nam powyrzucać. Pytali się ile to kilometrów do Królewca. To było 40 km.

Wyliczyłem sobie, że po uwolnieniu już 6-go lutego będę w domu. Doszliśmy z kolegami aż pod Suwałki a tu natknęliśmy się na Ruskich, którzy zawrócili nas i z powrotem pognali nas na piechotę aż pod Tylżę, na punkt zborny. Zapędzili nas na majątek, gdzie znowu musieliśmy chodzić do pracy. Przy sztabie sowieckim zostałem magazynierem ~~kt~~ Magazyn mieścił się w stodole. Były tam rowery i różne urządzenia.

Oczywiście nikt nie chciał chodzić do roboty. Rano, gdy każdy zjadł swoją porcję kaszy, to ludzie chowali się po zakamarkach, gdy gonili do roboty. Ruskie tak mówili: Jak do jedzenia to są, a jak do roboty to niema. Uciekają. Wozili nas czasami po chleb

i cukier, to każdy nakradnie ile wlezie, pochowa po kieszeniach. Ruscy ważą w magazynie, a tu brakuje. No ich chleba to spróbowałem. Jak oni mogą to jeść? - zastanawiałem się. Chleb był na wpół z owsem, plewą. Na śniadanie była kasza na ~~raz~~ rzadko, na obiad kasza na rzadko i na gęsti i na kolację znowu asza, ale ~~jakoś dawało się żyć~~ <sup>k</sup> jakoś dawało się żyć, bo to człowiek zawsze coś ukradł. Mieli taką amerykańską "świnnoj tuszonki". Jak był front, to zabixtym, zamarzniętym krowom wycinaliśmy uda i smażyliśmy je i jedli.

Jak nadchodzili Ruscy to schowaliśmy się razem z Niemcami, wieśniakami, do piwnicy w jednym domu. W tym czasie przyszli gestapowcy i kazali Niemcom wyjść. Niemcy jednak nie chcieli. Jeden z nich wyszedł i zaczął się z nimi kłócić. W końcu wrócił i mówi do nas: Gdybyśmy wyszli to czekałby was tylko granat. Za godzinę wpadli do nas Ruskie i wszystkim kazali podnieść ręce do góry. Była u nas sanitariuszka - Rosjanka, która na froncie dostała się do niewoli niemieckiej. Opatrywała mi odmrożone ręce. Była po cywilnemu. Zastrzelili ją natychmiast. Ja sam mało nie zarobiłem kuli. Było przecież zimno więc wziąłem ~~piwnic~~ <sup>piwnic</sup>szą czapkę jaką znalazłem. Była po zabitym Niemcu. Ruski zobaczył to i mówi do mnie: Fryc. - Ledwo się wykaraskałem. To on do mnie potem: Ty polska mordo.

Jak Sowieci ~~zatrzyx~~ <sup>zatrzyx</sup>mali nas pod Suwałkami to mieliśmy wtedy ze sobą trochę rzeczy. Ja niosłem struny do pianina (takie rzeczy miałem wtedy w głowie), kolega niósł oficerki. Sowieci powiedzieli, że za to, że my tam pracowali to nam włos z głowy nie spadnie. A jak. Zaraz ustawili nas w szeregu i dwie godziny tak trzymali i chodzili wokoło. Zabrali wszystko co kto miał i popędzili z powrotem na bosaka.



Czasami odprowadzaliśmy "eszałony" to nie chciałem wracać z powrotem na piechotę, więc któregoś razu zaprzęgłem bryczkę. Konie od razu poniosły mnie, nie umiałem przecież nimi powozić i jak nie rąbną w słup. To gdyby nie to, że spadając zaczepiłem rozporkiem o to miejsce, gdzie wsadza się bat, to pewnie tak bym wyrznął w asfalt, że chyba bym zginął. Młodym to zwasze nie wiadomo co do głowy przychodzi.

Jedna kobieta to w ostatniej chwili podpisała volkslistę, żeby wyciągnąć syna z obozu, z naszego karnego batalionu. To było kilka dni przed przyjściem Sowietów. Co z tego. Przyjechała i zabrała syna, ale ~~noży~~ pięty to miał tak odmrożone, że kości miał na wierzchu. Ja wtedy byłem sam w baraku. Nie poszedłem na robotę, jako chory. Jego matka przywiozła ciasta, to go zjadłem. Gdyby koledzy byli to zjadłbym go pewnie o wiele mniej i może nic by mi nie było, a tak, to rzeczywiście się rozchrowałem. Niemiec przyszedł i pyta się dlaczego nie w pacy. R. Sch<sup>r</sup>mertz kopf - odpowiedziałem.-Gdyby przyszedł z gestapo to dałby ci Schmertzkopf - odrzekł na to. - I tak było na prawdę. Jak ktoś mówił, że jest chory ~~xxxxxxx~~ to Niemiec wyciągał pistolet i zabijał gościa. Przy mnie jdenego chołrego, który sła<sup>n</sup>iał się, zastrzelił w okopie. Mnie też wtedy głowa bolała.

Latem 1946 r. zatrzymaliśmy trzy samochody na szosie Węgrów-Warszawa, niedaleko Sterdyni. To jak nas rozbili, to najpierw uderzyli na I drużynę. Zginął tam "Dziki". Jeden koło mnie się przewrócił, ale tylko musnęło go po włosach, które osmalilo. Jeden został ranny. "Dziki" był ze sztabu "Rekina" (a może z obstawy? - J.K.). W sztabie tym byli jeszcze "Czarny" i "Mały". Jak przejeżdżaliśmy tymi samochodami przez jakieś miasteczko to żołnierze z posterunku wojskowego oddali nam cześć. Jak kilku z nas

poszło na punkt kontrolny to pozdejmowali czarne pagony, opaski, tak, że wyglądali normalnie. Stali obok żołnierzy i przepuszczali nas.

To "Rekin" załatwił te ciężarówki. "Burego" nie było wtedy z nami. Był ze swoją kawalerią i spotykał się z nami tylko od czasu do czasu. Jak raz przyjechał to musiałem pojechać z nim na koniu za Bug, na wieś do organisty. Musiałem tam im pograć trochę. Pojechaliśmy tam całym szwadronem. Pod koniec to "Rekin" mówił do mnie: Zamelinuj się gdzieś. Szkoda by było, żebyś wpadł.

Jak zatrzymaliśmy te trzy ciężarówki to na jednej z nich ~~byli~~ byli aresztowani ~~którzy~~ ludzie. Uwolniliśmy ich.

W nocy przenocowaliśmy na kolonii a nad ranem na szosie założyliśmy kontrolny punkt. "Rekin" porozstawiał nas odpowiednio i stanął na szosie w towarzystwie kilku <sup>n</sup>dobrych chłopaków. Nie pamiętam już którzy to byli. W tym czasie byłem w drużynie u "Oszy". "Dopiero potem znalazłem się u "Gołębia", gdy podzielili nas na trzy oddziały. "Bury" zrobił wtedy koncentrację. Przywiózł awanse. Ja dostałem starszego strzelca. To od Andersa - powiedział. Żonie dałem ten awans do przechowania i zaginęło to. W mojej drużynie, razem ze mną, byli m.in.: "Kogut", Władek ~~który~~ "Kometa", którego zwerbowałem. Potem zginął. Czuję się za to trochę odpowiedzialny, bo sam go namówiłem, żeby się nie ujawniał. Mieszkał gdzieś za Bugiem. Poznałem go gdy zakwaterowaliśmy w jego wsi. Ludziom niektórym to się tak ta partyzantka podobiała. Gdy byliśmy z "Gołębiem" w Domanowie to kuzyn mój uczepił się, że on pójdzie z nami. Tłumaczyłem mu: To nie jest takie słodkie. Musisz stać na <sup>WARCIE</sup>. Zawsze jesteś na coś narażony. - No ale on uparł się i poszedł z nami. Dwa dni pochodził i przyszedł do "Gołębia" prosić, żeby zwolnił go do domu. Mówię do

"Gołębia": Weź go puść. - Ale przecież chodzi o to, żeby nie sypnął nas potem. - Poświadczyłem więc za kuzyna, że wszystko będzie w porządku i "Gołąb" puścił go.

W drużynie był też kapral "Groźnyx". Ujawnił się i nic mu się nie stało. Latem 46 r. też nie był w drużynie "Gołębia". Dopiero na koncentracji, gdy nas podzielono, to przeszedł do "Gołębia". Byliśmy skierowani na teren powiatu Grajewo w celu zlikwidowania złodziejskiej siatki. To ci złodzieje urządzili nawet na nas zasadzkę gdzieś koło Niecikówi Ławska. Ławsk to była taka nasza stolica. I jak szliśmy w nocy lasem to zostaliśmy przez nich zaatakowani (i co dalej? - J.K.).

Jednego razu spaliśmy w Ławsku, ale ja zawsze lubiłem gdzieś położyć i namówiłem jeszcze "Kometę", żeby ze mną poszedł. Chodź, pójdziemy na dziewczynki - powiedziałem do niego. Oczywiście zgodził się. Idziemy przez wieś. Patrzę idzie prosto na nas dwóch wojskowych. Ja miałem przy sobie tylko granat. Zobaczyłem, że koleś stchórzył ~~z~~, chce już uciekać, więc złapałem za jego automat, zarepetowałem i krzyczę: Stój kto idzie, a ci też za karabiny i w podwórzu uciekają. Myślałem, że do obory uciekli. Więc serię po oborze puściłem i na strych wlałem. Patrzę: nie ma nikogo, a oni uciekli przez łąkę. Tak, że tylko krowę niepotrzebnie postrzeliłem (czy zapłacili za nią? - J.K.). Oczywiście, gdy ~~XX~~ chłopaki usłyszeli strzały to zaraz pobudzili się i "Gołąb" <sup>pobiegł z nimi</sup> ~~zarządził pościg~~ za stodołę. Ja patrzę, a jacyś wojskowi już położyli erkaem na płocie u sołtysa. Krzyknąłem więc do ~~XX~~ Władka: Wracaj, chodź tu - i jak Władek nie <sup>z erkaemu</sup> praśnie po nich to wszystko zaraz gdzieś uciekło, my zaś rzuciliśmy się w pościg ulicą w to miejsce, gdzie był ten ich erka-

em. Jeszcze krzyknąłem do chłopaków, żeby nie uciekali. Ja tam byłem na cyku trochę i myślę sobie: A co tam, ja będę uciekać. No i gdy dobiegliśmy do zabudowań sołtysa, patrzę: wyłazi jeden zza płotu z podniesionymi do góry rękami. Władek podbiegł do niego natychmiast i zabrał mu automat i chciał go kopnąć, ale powiedziałem do niego: Zostaw, bo powiedz, że bandziory jakies. Żołnierz zaczął płakać, że ma żonę, dzieci. Że jeśli zabierzemy mu automat to dostanie 12 lat. Wysypuj - powiedziałem do Władka. Ten odłączył bęben od pepeszy i wysypał naboje. Oddał automat i powiedział: Spieprzaj To było w kwietniu 1947 r. niedługo przed ujawnieniem.

Przez Kałuszyn to tylko przejechaliśmy. Rozbroiliśmy tam jednego porucznika. Ten to sam oddał nam broń. Zabili go jednak pod tym miasteczkiem, gdy zatrzymywaliśmy samochody ~~xxxxxxx~~ ~~xxxxxxx~~ Oni, żołnierze, nie mieli żadnego wyjścia, bo ~~xxxx~~ szosa była obstawiona po obu stronach. Niechby jechał cały samochód żołnierzy to nic by nam nie zrobili. Trzy drużyny były przecież a w każdej drużynie po dwa erkaemy. U nas to "Groźny" i "Kometa" mieli erkaem. To były "Diegtiary". Nóżki im obcinałiśmy, żeby nie było za wysoko ustawiać na płocie. "Kogut" nosił talerze do erkaemu (był więc amunicyjnym "Groźnego"), a ja pomagałem Władkowi. Do dzisiaj nie mogę sobie darować, że namówiłem go do nieujawniania się. Akurat przyszedłem do oddziału z białostockiego, gdy oni już szykowali się, żeby rano jechać i ujawnić się. To wtedy jeszcze chciałem "Gołębiowi" gwizdnąć czeskiego Bergmanna" - "Derkacza", ale pomyślałem sobie, że pewnie ubecy widzieli u niego ten automat, gdy ~~my~~ rozmawiał z nimi na temat ujawnienia. Ja to już wtedy mówiłem, że to nie ma sensu, skoro zaatakowali akowców, którzy ~~sxx~~ jechali ujawniać się.



Jak mieli zamiar ujawniać się to nie powinni byli tego robić, bo przecież amnestia nie obejmowała akcji zrobionych w czasie amnestii. Tę akcję to zaplanował albo "Gołąb" albo "Wysoki". Było nas 10-ciu. Mieliśmy dwa erkaemy i kilka pepesz. Zabłokowaliśmy drogę i jeden z nas wyszedł na szosę i powiedział do tych akowców: Jesteście w zasadzce. Proszę jechać za mną - i poprowadzi ich w las. Tych akowców było kilkuset <sup>drabiniaste</sup> ~~na~~. \* Aż trzy wozy były załadowane bronią. Najwięcej to było ~~je~~ muzealnych zabytków, pamiętających jeszcze czasy Napoleona. Przepuściliśmy więc tę kolumnę, którą skierowaliśmy do lasu i czekaliśmy na milicyjną obstawę, która jechała na ostatniej furze. Wcześniej~~x~~, zanim zatrzymaliśmy ich, to akowcy jechali wiwatując i strzelając na wiwat. Weszło było jednym słowem. Gdy nadjechali milicjanci to jeden z nich zaczął strzelać do nas. "Wysoki" puścił więc po nim serię i gość zginął, a drugi milicjant wskoczył na konia i uciekł. Przy zabitym znaleźliśmy list od jego matki, która <sup>Kochany</sup> pisała do niego: Synu, rzuć to. To nie dla~~x~~ ciebie robota. - Za późno mama napisała - powiedziałem wtedy do zabitego. Gdy oni nadjechali to daliśmy serię w górę, nad nimi i krzyknęliśmy: ~~Ręce~~ Ręce do góry! - no ale ten milicjant chciał być odważny, zeskokczył z fury i zaczął do nas strzelać. Nie mieliśmy więc wyjścia. Gdyby nie strzelał, tylko się poddali to nic by im się nie stało. Akowcom kazaliśmy broń poskładać na furę, to zebrało się jej trzy drabiniaste wozy i powracali do domów. Jak ubowcy przyjechali to ludzie jeszcze w błąd ich wprowadzili, bo powiedzieli, że tyłu nas było, że i konno byliśmy i na furmankach.

Akowcy i tak się w końcu ujawnili. Tylko tyle, że broń im zabraliśmy. Ciekaw jestem gdzie jest ta broń, bo nie było mnie przy tym. ~~je~~ Kilku chłopaków pojechało z nią w las i gdzieś

ją zamelinowali. Ciekawe gdzie? Było przecież tego tyle. Potem to już tylko spotkałem "Wysokiego" we Wronkach, w łaźni, ale nie było jak się zapytać, bo tam to trzeba było uważać. "Gołąb" to wie na pewno.

~~Wskazaliśmy~~ Już po tym jak odłączyliśmy się z Władkiem od patrolu "Gołębia" to w na błotach koło Chojewa koło Ostrowi Mazowieckiej (Chojowa?) spotkaliśmy się z płk. "Błękitem". Nasi mają zamiar się ujawnić - powiedziałem do niego. - Tylko samam plewa się ujawnia - odpowiedział. W tych okolicach, ~~koło Chojewa~~ ~~na~~ chodził oddział "Dziadka". Razem z nim był Jankowski z Sielc, który jeszcze żyje. No i wtedy tak nas nastroił, dostaliśmy jeszcze gazetki i wróciliśmy do oddziału, a tu nasi już ujawniają się. My zaś z Władkiem, rada w radę, postanowiliśmy nie ujawniać się. Wiedzieliśmy zresztą po co była ta amnestia, żeby wszystkich poaresztować. Mieli nas przecież podanych jak na patelni, zupełnie bezbronnych. Na odchodnym powiedziałem "Gołębiowi": Jak przeżyjem to się spotkamy. - Potem do mnie mówił: Miałeś rację. Ja od początku do końca nie wierzyłem w te ich oficerskie słowo, chociaż były wyjątki jak z tym "Groźnym". Karę też ~~przewidziałem~~ przewidziałem prawidłowo. Obaj dostaniemy po 15 latx - powiedziałem do "Gołębia" i tak rzeczywiście się stało.

Jak wróciłem w 1945 r. do domu, to wszystko zastałem spalone. Rodzice mieszkali u stryja. To już drugi raz dom nam spłonął, bo pierwszy raz spalił się w 1939 r. Odbudowaliśmy go i znowu na nic. W 1939 r. 10 p. ~~muł.~~ <sup>z Białegostoku.</sup> toczył walki koło nas. Ojciec potem zbierał zabitych i chował ich na cmentarzu. Niemcy zajęli Domanowo 7 września. Dom spalił się od ognia artylerii strzelającej gdzieś od strony Szepietowa i Chorążyc. Akurat wtedy młodszy ode mnie o 4 lata brat wszedł na dach i gwiazdę kręcił. Chciał

"Wśród nocnej ciszy" zaśpiewać. Wtedy wybuchł granat. Jak brat wypadł ~~ze studni~~ z domu to mało w studni się nie utopił jak łupnęło. Potem jeszcze samoloty przyleciały i popodpalały inne domy świecami, bo to przecież słomą kryte były jeszcze.

Niemcy wkroczyli. Zabrali ojca. Jeden to wrócił dopiero po wojnie, ja uciekłem. Powiedziałem Niemcowi, że idę po cielaka, bo chodził po łące i Niemiec puścił mnie. Pierwszą noc spędziłem w kościele, a Niemcy wszystkich pognali aż do Zambrowa. Grupę, w której był ojciec to w jakiejś szklarni trzymali, to wartownik, który stał na zewnątrz szyby powybił kolbą karabinu, żeby powietrza było więcej. Stryja popędzili gdzieś dalej. Opowiadał jak to było. W czasie wydawania rano marmolady Niemiec powiedział, że Polacy zapowiadali, że jak ich pobiją, to będą kobietom piersi obcinać. To wasi tak gadali ~~że~~ w radio, że będą naszym kobietom piersi obcinać - ~~nie~~ zaprzeczył szybko strtyj a Niemiec jak go ~~nie~~ chlasnął łopata, którą którą nakładał marmoladę, aż ten wywrócił się.

---

W 1945 r. początkowo poszedłem na parafię do Klich. Pamiętam byłem jednego razu na weselu. Raptem koło ucha bzyknęła mi kula i usłyszałem huk wystrzału. Do sali wpadło UB i wszystkich porzstawiali pod ścianami i zaraz popędzili do Brańska. Deszcz wtedy padał okropny. Błoto. Mnie to z opresji wyratował sołtys, bo inaczej i mnie by pogonili. Zabrali wszystkich, nawet młodego. Niektórzy wrócili po trzech miesiącach albo i później. Każdy oberwał porządnie po plecach. To UB tak partyzantów szukało. Czasami ja chór prowadziłem, wyjrzą przez ~~okno~~ okno, patrzą: stoją dookoła w porwanych kożuchach i pilnują nas. Wszystko przez to, że mieszkaliśmy u gościa, który miał obywatelstwo amerykańskie i UB strasznie miało na niego ochotę. Zaczęli i mnie

ciągać do Bielska. Ja to może i nie zacząłbym się ukrywać, ale poszedłem raz do Bielska razem z kolegą, który też miał wezwanie. Wszedł jednak jakiś sierżant i mówi do niego: Spierdalać stąd. Już twego kolegę powiesili i łomoczą go. Zaraz i ty dostaniesz. A ja wtedy dostałem wezwanie, bo jak mnie nie wzięli w razem z tymi gośćmi weselnymi do Brańska, to kazali mi się stawić ~~już~~ już do samego Bielska. Potem, jak już mnie złapali i zawieźli do Bielska - to było już w 1949 r. - to jeden ze śledczych powiedział: X Antoś, my ciebie dwa lata szukali. Gdzie ty się ukrywał.. I tak początkowo ze mną delikatnie, śmiechem, żartem a potem na krzyk zaczęli mnie brać, a Kłyś - nie wiem co to był za ubek - posłyszał pod drzwiami, otworzył je i mówi do mnie: Chodź - a i zwrócił się do nich: A wy jak chcecie się dowiedzieć, to w Białymstoku prowadzę śledztwo i tam wszystkiego się dowiedziecie. Nie wiem co to był za gość z niego. Wtedy on zawiązał mnie specjalnie do Bielska, żeby potem zawieść mnie do domu (czy ta konfrontacja była tylko na posterunku w Bielsku? - J.K.), bo mój brat przyznał się, że miał "Nagana", którego dostał ode mnie. Z tym pistoletem to było tak, że ja przyszedłem któregoś razu do domu i przenocowałem, a ten durak wziął mój pistolet i poszedł na wesele i tam raz wystrzelił. Brat zapierał się potem, że to był straszak, ale świadek z Patok stanął i twardo powiedział, że to był pistolet. Ojciec wtedy też oberwał pistoletem po głowie. Nie wiadomo za co na stare lata.

Wracając do tego 1945 r. to prawie przez rok czasu mieszkałem w Cholonkach u tego Śliwińskiego, obywatela amerykańskiego, i codziennie miałem wizyty ubeków, którzy polowali na niego. Któregoś razu przyjechali do nas - rozminęli się akurat z gospodarzem na drodze - i zbili jego żonę i chłopaka, jego brata. By-



Byłem akurat w stodole gdy usłyszałem krzyk. To dzieciak krzy-  
czał. Wpadłem stamtąd biegiem, patrzę, a oni dzieciaka pod auto-  
matem trzymają i pytają się: Gdzie brat?. - Zdurnieli - krzy-  
knąłem do nich oburzony \* ich bestialstwem - dzieciaka już mo-  
że wystraszyli. Jak tak można do dzieciaka skakać. Skąd on może  
wiedzieć, gdzie brat pojechał. - Ja w tym czasie siedziałem  
i na fisharmonii grałem. Ubek wpadł, wsadził tę swoją "Luśnię"  
i krzyczy do mnie: Ręce do góry! - a ja w fisharmonii jeszcze  
"Hiszpana" miałem. Podniosłem ręce a oni mówię, że są partyzan-  
tami. Patrzę - w porwanych kożuchach. Jak partyzanci - mówię -  
to po co tam który tę kobietę po twarzy bił (bo słyszałem przez  
ścianę odgłosy bicia). Dla świętego spokoju postawiłem im pół  
litra. Partyzanci - mówię - w takich butach i porwanych kożu-  
chach to nie chodzą dla pucu. No i kogo wy chcecie nabrać - mó-  
wię do nich przy wódce. To tak ładnie bić kobietę, gdy mąż się  
ukrywa. A jeden z nich mówi wtedy: Myśmy widzieli jak jechał  
na furze do Brańska, gdy tu jechaliśmy. - To czemuście go nie  
wzięli? - pytam się, a to już ktoś ze wsi zameldował dla nich  
a \* oni już głupoty gadali.

Następnym razem ten "Amerykaniec" wpadł im w ręce, ale to by-  
ło tak śmiesznie, że nie poznali go. W domu były akurat jakieś  
dziewczyny. Wódka na stole. Siedzieli z nim przy tym stole i wód-  
kę pili. Mówili mu, że mają jego zdjęcia, rysopis. Rozmawiali  
z nim cały czas i nie zorientowali się \* k\* kto to siedzi przy  
stole. Gdy wódka skończyła się gość zaproponował, że pójdzie  
po wódkę i przyniesie. To jak poszedł to już nie przyszedł. Ube-  
cy ponapijali się i dopiero na drugi dzień dowiedzieli się z kim  
wódkę pili, to jak jechali to cały czas strzelali ze złości. A on  
ukrywał się u takiego prawosławnego Masłowskiego. Ubecy przyjeź-

dżali do tego Masłowskiego, wódkę z nim pili, a ten siedział u niego w stodole ukryty. Ubecy tam nie szukali go, bo przecież Masłowski ~~m~~ był swój - prawosławny.

Któregoś dnia przyszedł do mnie mój kolega ze wsi Filipiuk Antoni - członek siatki, który już był w oddziale i wrócił - i mówi, że u niego na kolonii są chłopaki z oddziału. Jak chcesz to chodź, bo ciebie i tak zwiną i tak zwiną. - Pomyślałem sobie, że rzeczywiście nie mam wyjścia. Nie poszedłem przecież na UB w Bielsku, gdy mnie wzezwali z kolegą. Cały czas dom, w którym mieszkałem, był obstawiony przez UB. Ciągłe słyszało się, że komuś żebra połamali, albo zamordowali. Jednego z Widźgowa to wzięli zaraz po ślubie i ludzie znaleźli go w Nurcu związanego drutem kolczastym. Pomyślałem więc sobie: Ciekawe kto kogo? - i poszedłem z Antkiem do niego na kolonię.

~~xxxxxxx~~ Pamiętam, że 16 lipca miałem jeszcze grać na odpuszcie w kościele, to już nie grałem. Tak więc do oddziału wstąpiłem w końcu czerwca lub na początku lipca. Przed odejściem poszedłem jeszcze do księdza, który współpracował z partią, i wziąłem od niego zaświadczenie, że pracowałem w kościele jako organista.

U Filipiuka zastałem "Osę" z dwoma czy trzema chłopakami. To były resztki jego drużyny po ostatnich walkach. Wszyscy byli umundurowani. Początkowo przez kilka dni chodziłem w swoim cywilnym ubraniu. Skądś ten mundur jednak zdobyliśmy. Potem to już zamawialiśmy drelihowe mundury u krawca. Jak przyszedłem do "Osy", to byli z nim "Kogut", chyba "Groźny" i kto wie czy nie "Wydra". Ten to pod koniec awansował do stopnia podporucznika. Był taki pucołowaty.

Z tych wszystkich po ujawnieniu jeszcze tylko "Wydra" chodził,

"Kometa", "Mokry". Oni byli w oddziale "Wydry". Jak byłem w Cholonekach, już po amnestji i ujawnieniu, to przyszedł "Wydra" ze swoim oddziałem i zrobili zabawę we wsi. To było kilkanaście kilometrów od Domanowa. Moja żona pochodzi z Cholonek. Jak uczyłem chór śpiewu zanim jeszcze poszedłem do oddziału, to moja przyszła żona także przychodziła śpiewać i tak ją poznałem. Właśnie wtedy "Wydra" dał mi jakiś meldunek, który miałem zanieść do płk. "Błękity". Dopostałem kontakt na niego i poszedłem w kierunku Ostrowii Mazowieckiej. Prawie 100 km zrobiłem piechotą w jedną noc. Dla mnie to było normalne. Z pow. grajewskiego przecież za jedną noc przychodziłem do domu w Cholonekach. Raz tylko przejechałem się na koniu, gdy "Bury" zabrał mnie ze swoim szwadronem kawalerii do organisty w jakiejś wiosce nad Bugiem. Tam właśnie leży pochowany "Orlik". Ten organista jeszcze grał w kościele gdy go chowali. Według mnie "Orlik" to był inteligentny chłopak i chyba tak mu na honorze zależało, że zastrzelił się, gdy ci chłopcy z jego drużyny upili się na warcie. "Bury" to był taki, że wódki u niego pić nie było wolno. Chłopaki opowiadali jak zanim jeszcze przyszedłem do oddziału to chłopaki pili wódkę na kwaterze. Przyszedł "Bury", jak zobaczył butelkę na stole to wyciągnął pistolet i ~~mówi~~ strzelił prosto w butelkę mówiąc na odchodnym, że następnym razem nie będzie strzelał w butelkę. Dzięki temu, że nie piłem, to dali mi prawo noszenia trupiej czaszki, którą chłopaki nazywali łebkiem. Nie każdy miał prawo do noszenia łepka. To zaraz mnie przezwali łebkiem. Tylko u nas w oddziale były takie odznaki. Jak już ktoś popadł się w nasze ręce, to <sup>s</sup> miał być ostrożny. ~~Ź~~ Nasz oddział to była taka brygada likwidacyjna.





ry. Zimno. Luty przecież.

Stamtąd przywieźli mnie do Warszawy i potem jak mnie przewozili do Białegostoku, to cały ten depozyt dali mi do ręki. Zawieźli mnie w Białymstoku do lekarza więziennego. Patrzę: w piecu się pali. Zajrzałem więc do pakunku, żeby zobaczyć co tam jest i patrzę: jest ten list. Wrzuciłem więc go do pieca. To potem do Wroniek przyjeżdżali pytać się: było to w białej kopcercie? - Co było w białej kopcercie? - udawałem głupiego. To chyba narzeczona pisała do ~~xxxx~~ was - powiedział ubek śmiechemzartem.

Jeszcze w Sierpcu to pamiętam jak w nocy mnie na przesłuchanie wzięli. Śledczy przyszedł, usiadł za biurkiem, na biurku pistolet położył i zaczyna "rozmówkę" - co ja do niczego się nie przyznaję. Najpierw to chciał mnie kopnąć, ale potem chwycił za gumę, ale ktoś na korytarzu strzelił drzwiami, więc rzucił tę gumę za szafę. I na tym się skończyło i z powrotem do piwnicy. Rano dali jeść i już jakieś inne zawołali: Skąd?, co? - A pojedziesz tam, to porozmawiają z tobą. I znowu do celi, tylko już innej - z Niemką. Słysząc było, jak więźniowie odmawiają modlitwy: Zdrowaśki, litanie. Niemka zaczęła pytać: Co, za co? - A ja wiem? Przypadkowo jestem. - Potrzymali mnie tak kilka godzin. Niemka pokręciła głową do okienka, że pewnie mnie nie zna i wtedy załadowali mnie na samochód. Wtedy też złapali takiego Stryjewskiego. Wrzucili nas pod plandzękę. Ręce związali. On był chyba z WiN-u. Jak byłem na parafii to przychodzili ze dwa razy, ale tylko zobaczyć co się dzieje. Uzbrojeni byli w ruską broń. Nie wiem ilu ich było, bo tylko dwóch widziałem. Reszta została na zewnątrz.

Śledztwo to w zasadzie miałem spokojne. Tylko na początku w Sierpcu poszarpał mnie za włosy, kopnął kilka razy.

W Warszawie ~~z kolegą~~ ~~skorośs~~ z kolei spotkałem kolegę, z którym uczyłem się razem w Drohiczynie. Razem z nim w tej samej celi siedział jego ojciec - przedwojenny major. Pochodzili z Klukowa. Nazwisko Ortweih. Miał w Klukowie majątek. Chyba za jakieś antykomunistyczne przemówienie go zamknęli. W tej celi było na 6-ciu. Cella była malutka, tak, że byliśmy ściśnięci. Leżeliśmy jeden przy drugim ściśnięci. Całą noc lampa się świeciła. Dwa tygodnie tam siedziałem. Obrączkę mi tam zabrali. Jakiś ubek.

Do Białegostoku pojechałem pociągiem. Dwóch mnie eskortowało. Skuli mnie. Narzucili pelerynę. To już był marzec, bo przecież w Sierpcu kilka dni posiedziałem.

Najpierw zawieźli mnie na UB na Mickiewicza. To jeszcze kazali mi sprzątać u Niemców w celi. To oni ludzi mordowali - mówię - a teraz ja jeszcze mam im sprzątać. Nie będę sprzątał. To Białorusin wpadł na taki pomysł. Zresztą w Warszawie jak zaprowadzili mnie na przesłuchanie to żaden nie mówił po polsku - tylko po rusku, chociaż siedzieli w polskich mundurach. Zdziwiło mnie to, że w polskim mundurze a po rusku mówi. Jakiś major chyba.

Z więzienia wozili mnie do domu, do Domanowa, żebym pokazał im w którym miejscu jest studnia, bo mój brat powiedział, że tam właśnie utopił mój pistolet. Początkowo to nie <sup>C</sup>chiałem się przyznać, ale potem dostałem artykuł: trzykrotne posiadanie broni.

Brat to tłumaczył się, że ze straszaka strzelał, ale to nic nie pomogło.



było. Któregoś razu przyszedł. Otworzył drzwi i rozmawia. Zobaczył, że nadchodzi spec i mówi: No, idzie ten od spraw niepotrzebnych - i zamyka drzwi. I doczekał się. Wsadzili go na bociana. Potem przyszedł któregoś razu i otworzył drzwi. No, trzeba było się słuchać co się mówi - powiedziałem do niego. U swoich jeden drugiego sadza a tu miałoby być inaczej.

Wracając jeszcze do przysięgi. Koncentracja miała miejsce gdzieś na kolonii. Jakaś Leszczka nie Leszczka. Nad Bugiem, ale po naszej stronie. Ustawiliśmy się w dwoszeregu. "Bury" kazał nam wystąpić tym nowym. Zebrało się nas chyba 12-tu. Podnieśliśmy dwa palce do góry. Złożyliśmy przysięgę. Na koniec: Tak nam dopomóż Bóg. To było w biały dzień. Wieczorem odeszliśmy na nowe miejsce.

Za żywność u nas odpowiadał taki starszy gość. Nazywaliśmy go "Szefunio". Był na wojnie w 1939 r. Miał kilku ludzi do pomocy, ale prowiant to sam załatwiał. Najczęściej to było tak, że cała drużyna zatrzymywała się w jednym gospodarstwie a szefunio dostarczał mięso albo płacił. Mięso dawał gospodyni wtedy jeśli wcześniej był u któregoś sołtysa i zamawiał potrzebną ilość. W sklepie cukier kupował. Myśmy szli na piechotę, a on miał furmankę. Czasami wysyłał ją po mięso, albo też czasami to nawet indywidualnie byliśmy rozdzielani na kwatery. Proszę obiad zrobić i już.

Jak wstąpiłem do oddziału to dostałem "Mauzera" i "Garłacza" - miotacz granatów, których zwykle miałem 3-4. Raz karabin zgubiłem. To było na grajewskim powiecie. Wtedy "Gołąb" nas rozpuścił na święta Bożego Narodzenia. Każdy dostał po 500 zł. Razem z "Groźnym" poszliśmy do wsi Konopki. Człowiek z siatki zaprowadził nas do jednej dziewczyny. To było na Wigilię. No



i tak siedzimy sobie i w pewnym ~~momencie~~ momencie usłyszałem ujadanie psów. Coś tak za mocno psy ujadają - mówię do nich. To był już wieczór. Godzina koło 10-tej. To było dzień przed Wigilią. Chodź - mówię do "Groźnego" - wyjdziemy i trzeba się rozejrzeć.-Aaa, co tam - odpowiedział. - To <sup>cho</sup> ciąż okna trzeba zasłonić - dodałem. ~~W~~ Ledwo tylko zdążyli okno zasłonić: buch, buch - ktoś wali w szybę - Polskie wojsko. Proszę otworzyć. - No kur zapiał - pomyślałem sobie - teraz to dopiero będzie. Patrzę gospodarz ładuje się pod łóżko a my z "Groźnym" wchodzimy na strych. W tym momencie kury tak zaczęły gdać, że ci na zewnątrz usłyszeli i chyba ten co stukał w okno krzyknął: Antek! Chodź! Bandyty są!. ~~W~~ Ja schowałem się w <sup>naciągnąłem je na siebie</sup> ~~jakieś~~ <sup>nie</sup> ~~różgi~~, a "Groźny" wybił w szczycie deskę i rzucił granata na zewnątrz i zaraz wyskoczył. Była ciemna noc i nic widać nie było, więc uciekł. Spotkałem go dopiero po tygodniu. Gdy rzucił granat to zaczęła się strzelanina, ale szybko ucichła, bo uciekł. Wtedy ci wojskowi weszli do domu i zaczęli rewizję. Jeden nawet wlaźł na strych i świecił latarką. Kopnął mnie nawet, nie wiedząc o tym nic jednak nie zauważył i wrócił. Gdy zobaczyłem, że to wszystko się uspokoiło wyskoczyłem na zewnątrz. Nikogo nie było. Gospodarka zabrali ze sobą. Do dziś nie wiadomo co się z nim stało. Nigdy już nie wrócił. Rzuciłem się biegiem przez pola i do następnej kolonii. Zachodzę a kobieta mi mówi: Zwiewa pan, bo wojsko tutaj jest. Pognałem więc do następnej wioski. Oczywiście byłem już bez broni, bo uciekając na strych w Konopkach karabin zostawiłem ~~na~~ na dole. Zapomniałem o nim. Żołnierze pewnie zauważyli go i zabrali. W każdym bądź razie nie sprawdzałem wtedy czy on tam jeszcze jest tylko od razu pobiegłem na sąsiednią kolonię. Wystarczyło mi, że miałem przy sobie granaty. Szko-

da mi tylko było "Garłacza", bo karabin i tak zaraz dostałem. Tego u nas to nie brakowało.

Jak, uciekając, trafiłem do kobixty, która ostrzegła mnie, tu jest cała tyraliera uciekłem więc na następną kolonię i przemocowałem w s~~o~~todole. Rano u gospodarzy była Wigilia, bo tak tam na grajewskim powiecie jest zwyczaj, że Wigilia jest rano, więc jak wylazłem rano ze stodoły, to oni już byli po Wigili. Poczęstowali mnie, ale wódki to nie piłem. Raz mi się tylko wcześniej zdarzyło, jak już wspomniałem, że wypilem. "Gołąb" zresztą też nieraz wypił ze mną, jak zachodziliśmy do mnie do domu, we dwóch. Kilka razy byliśmy u mnie w domu. ~~xxxxxxx~~ ~~xxxxxxx~~ Oddział zostawialiśmy na kolonii a ~~we~~ my we dwóch zachodziliśmy do mnie do domu. No i wieczorem, czy nad ranem z powrotem. To już było wtedy gdy byliśmy na powiecie grajewskim.

To, że nas podzielono na patrole to była inicjatywa "Rekina". To było w końcu września albo na początku października 1946 r.

Jeszcze wracając do moich początków w oddziale to pamiętam jak szliśmy przez jakąś wieś i "Rekin" szedł obok mnie i mówi: "Szpaczek" uważaj, żeby tu co nie tego..., że niby kto nas z boku nie zaszedł. Ten pseudonim "Szpak" sam sobie nadałem. ~~to~~ To nawet w stanie wojennym na ten pseudonim wpłacałem do "Solidarności" składki. To w "Biuletynie" było.

Szkolenie u nas prowadził mł.in. "Xwysoki" (ten co potem był u "Gołębia"). Był też jeszcze jeden, dosyć wysoki gość. Pamiętam jak w Radziszewie stałem akurat na warcie. Patrząc jakieś wojskowe zasuwały prosto na mnie i już przełazą przez płot. Było ich z 10-ciu a nas przecież 12-tu. Wystrzeliłem raz i schowałem się za stodołę. Patrząc a nasi rzucili się do ucieczki, ale ci co przyszli zaczęli machać rękami do nich i nasi się wrócili. Okazało się, że to oddział por. "Głuszca". Przeważnie koło Straży się kręcili.

Innym znowu razem oddział został w wiosce gdzieś koło Smarglic a ja postanowiłem odwiedzić ~~znowu~~ moją przyszłą żonę. XTo było jeszcze w oddziale "Burego". Nałożyłem cywilną marynarkę i zasuwałem prosto przez wioskę. Nagle usłyszałem zdumiony: Ręce do góry!. To było na kolonii. Patrząc na podwórzu stoi wartownik i mierzy do mnie z karabinem, który opierał o płot. Myślałem, że to UB. Kto, co? - dogadaliśmy się na szczęście. Nawet mnie nie rozbroili. Wartownik zaprowadził mnie do X swego dowódcy, którym okazał się "Wiktor". Znałem go, bo przecież jak prowadziłem chór w Cholonekach to zimą 1946 r. zachodził do mnie z oddziałem. Uzbrojony był w "empi". Przyszli, pożartowali i poszli.

O, przypomniałem sobie tego wysokiego. "Rysak" miał pseudonim. To on nas szkolił. To był kawał dryjbalasa. Kierat za stodołą był to jeszcze kazał nam maszerować w koło kieratu. Musztry się uczyliśmy. "Rekin" to chciał utworzyć podchorążówkę. Mówił, że chciał szkolić przyszłych oficerów. Mieliśmy wykłady na temat broni, balistyka. Wszystko było. Normalnie w biały dzień po przespaniu się. Zawsze godzinę-dwie mieliśmy zajęcia. Składanie się do strzału. Wszystko.

Nie mieliśmy próbnego strzelania, tak, że po raz pierwszy wypróbowałem swój karabin, gdy napadli na nas i porozbijali nam samochody. Wtedy też ci kierowcy nam uciekli. Oni byli z wojska. Musieliśmy ich wziąć, jeśli chcieliśmy korzystać z samochodów, bo u nas nikt nie umiał prowadzić samochodu. Wtedy jak uciekaliśmy do przeprawy promowej przez Bug, to on ze swoją drużyną jakoś tak bokiem biegł.

Staliśmy wtedy porozrzucani drużynami na koloniach. I w pewnym momencie "Rekin" wpadł i krzyknął: Alarm!. - To było raniutko. Słońce dopiero wschodziło. Jakoś na Anioł Pański dzwónili

"Dzik" usłyszał to i zażartował: Chyba za moją duszę dzwonią. - i zginął wtedy. On był przy "Rekinie". Na nich poszło właśnie pierwsze uderzenie. Kogoś też tam złapali żywcem. My natomiast zajęliśmy ~~żółty~~ okopy w takim lasku. Wywiązała się strzelanina. Pierwsza drużyna zatrzymała natarcie, ale wszystko jedno tych coraz więcej zaczęło się pojawiać i musieliśmy się zwijać i wtedy jeden obok mnie to dostał serię tuż nad głową, tak, że włosy mu os-  
a  
maliło a mi piasek kurzył się między nogami od ich strzałów. Ubecy sunęli za nami taką tyralierą. Biegliśmy chyba z godzinę w kierunku promu przez Bug. Nie pamiętam już czy prom był po naszej stronie i musieliśmy go ściągać, dość, że przeprawiliśmy się. Razem z nami była jeszcze jakaś drużyna. Jedna to została całkiem rozproszona - to była ta, na którą uderzyli na początku. Całkiem się rozleciała. To potem jeszcze w gazecie o nas pisali, że tak nam dali łupnia, że na sądny dzień się nie pozbieramy.

Po przeprowieniu się przez rzekę wzięliśmy furmanki. Dość, że jeszcze dwa razy je zmienialiśmy tak gnaliśmy aż zatrzymaliśmy się koło Sokół. W ciągu jednej nocy zrobiliśmy tyle kilometrów. Z tym, że to ~~nie~~ odbywało się spokojnie, bo gdy przeprowiliśmy się przez Bug to jeszcze kolację zjedliśmy, zamówiliśmy furmanki i dopiero wtedy ruszyliśmy w drogę.

Jeszcze wracając do początku bitwy to jak oni uderzyli na nas to wycofaliśmy się do lasku, brzezinki, zajęliśmy stanowiska w okopach ~~z~~ z czasów wojny i wtedy daliśmy ognia po nich. Oni się wycofali ale zaraz następni nadbiegli. W międzyczasie "Rekin" nadszedł i wziął mnie i "Koguta", zaprowadził na laszek - Tam do celu! - pokazał ręką kierunek. Wystrzeliliśmy kilka razy i kazał nam się wycofać. Nie wiem po co to było, chyba na po



postrach. Dobrze, że to zrobiliśmy, bo ubecy chcieli nas wziąć w kocioł. Zachodzili z boków. Chłopaki z mojej drużyny w tym czasie zniszczyli samochody. Ostrzelali je i wrzucili do każdego granaty. Nie wiem co się z nimi stało. "Rekin" powiedział później, że zostały zniszczone, a kierowcy w czasie walki puciekali nam. Dlatego musieliśmy zniszczyć te samochody, bo gdyby byli kierowcy to tymi samochodami pojechalibyśmy. Tydzień czasu nimi pojeździliśmy, nacieszyliśmy się nimi.

Jak potem dowiedzieliśmy się obławę na nas sprowadziła kobieta z tej kolonii, która doniosła im o nas. Jeszcze tego samego dnia dostała w łeb. "Młot" ją zlikwidował, który ze swym oddziałem gdzieś w tych okolicach stał i jeszcze tego samego dnia wieczorem zlikwidowali ją. Obława poszła za nami, bo chcieli przecież odciąć nas od Buga, a "Młot" został na oczyszczonym już terenie.

Nie wiem jak "Gołąb" wybrnął z tej sytuacji, bo gdy biegliśmy na przeprawę to minął nas z boku ze swoją drużyną. My to jeszcze ostrzeliwaliśmy się w biegu a drużyna "Gołębia" to już tylko biegła gdzieś na skrzydło obławy. Myśmy też byliśmy rozrzuceni tyralierą. "Groźny" był wtedy w razem ze mną w drużynie u "Osy". Nosił erkaem. Był też jeszcze jeden erkaemista, który jesienią, pod sam koniec, zdezerterował od nas. Gdy przechodziliśmy w lasku między stacją Zdrody a następną, to on jak został w tym lasku tak go i nie zobaczyliśmy więcej. Niby za potrzebą poszedł. Czasami widzę go w kościele. Ale, że siedzieć nie siedział to nie wiem co to. Dla mnie to on był taki... (podejrzany?) Był u nas też taki "Kot" co zaplątał się w wojsku na grajewskim powiecie. Pochodził zza Buga. On był tym "świerzym" co to latem składał razem ze mną przysięgę. Był potem w drużynie u "Gołębia".

Był też taki jeden inteligent. UB złapało go tuż przed amnestią i ponoć im uciekł. Nie wiem czy podpisał współpracę czy nie. Gdzieś go samotnego zdybali.

"Lew" do drużyny "Osy" to przyłączył się już później, gdy my byliśmy na grajewskim powiecie. Któregoś razu przyszedłem stamtąd na te tereny i spotkałem "Osę". Wtedy chyba mnie nawet "Mokry" odprowadzał. To jednego konfidenta przy mnie zastrzelili. Do lasu go zaprowadzili. To "Wydra" załatwił. Dostał meldunek, że ma konfidenta. To było <sup>s</sup>jeieniem jeszcze przed rozwiązaniem oddziału.

No a potem jak już byłem na grajewskim powiecie i przyszedłem na te tereny i spotkałem "Osę" to chwalił mi się jakiego to on ma dobrego żołnierza. Elegancko stawał na baczność. Wszystko załatwiał. Nigdy takiego nie miałem. Zobaczysz jak to będzie wyglądało - powiedziałem do niego. "Osa" pokazał mi go. "Lew" był elegancko ubrany, po wojskowemu. Wyglądał jak by był co najmniej jakimś porucznikiem. Dla mnie to się nie podoba - powiedziałem - Nie ma co się cieszyć. - Od razu wydał mu się podejrzany. Nawet nie wiem czy ja opowiadałem "Gołębiowi" jak go załatwił. We śnie. Gdy wszyscy spali. Potem za to całą jego rodzinę zlikwidowali: żonę, dzieci. - Przyznam się, że tego to ja już nie rozumiem. Jego to tak, ale jeszcze całą rodzinę. Oni mieszkali wtedy ~~gdzieś~~ gdzieś koło Smarkli. To X pewnie "Wydra" z "Mokrym", który u niego chodził, to zrobili. Był też tam taki warszawiak. Z Brańska jeden był w kawalerii u "Szczygła" a drugi gdzie indziej.

Jak już siedziałem to wozili mnie na rozprawę "Wróbla". On powołał mnie na świadka. Nie wiem dlaczego. Pytali mnie co on ~~robił~~

robił. Powiedziałem, że z nim nie chodziłem i nie wiem. "Wróbel" był chyba ranny, ale to już po ujawnieniu.

W drużynie u "Osy" był też taki facet "Wilczur". To właśnie chyba "Wilczur" przyłądził "Osę". To mi pomyliło się z tym "Lwem" i to jemu przyłądził tę rodzinę. <sup>Oni pochodzili z tych stron.</sup> Tak mi się wydaje, że to jego rodzinę.

"Bierut" był do końca i chodził ze XŻwańskimX - "Błękitem". To był mały taki chłopak. Właśnie mnie i jego przywomzili z Wronek do M"Wróbla" na świadków. "Bieruta" chyba wzięli, gdy Żwańskiego zastrzelili. Nie wiem ile dostał "Wróbel", ale coś mi się tak wydaje, że czapę, bo za dużo miał na sumieniu już po ujawnieniu. Chodził do samego końca, aż go załapali. W nogę go postrzelili a "Kometę" zabili. "Wydra" i "Bierut" byli razem z nimi. Potem, nie wiem jakim cudem, "Bierut" do "Błękitu" poszedł.

Któregoś razu dostałem rozkaz zlikwidować donosiciela. Mieszkał w jakiejś wsi. Zaszedłem do niego z chłopakami. A miałem takiego jednego, który tylko się rwał, żeby strzelać. Nie tak od razu - mówię - bo ja zarobię, jak coś będzie nie tak. - To było na rozkaz "Gołębia" na grajewskim powiecie. Oczywiście ktoś wcześniej z siatki musiał przysłać meldunek na tego gościa. Zaszliśmy i zdziwiłem się. Dobry wieczór - Dobry Wieczór - odpowiedział spokojnie gospodarz i jego córki, które śmieją się do nas. Stremowało to mnie, oo zwykle jak wchodziło się do takiego, to zaraz w popłoch wpadał. A ten mi tu już rwie się do wykonania wyroku. Myśmy wtedy byli tylko we dwóch. Ten kumpel miał pseudonim "Smola". Pochodził z Żebrów na grajewskim powiecie. Patrzę, że coś tu niegra, więc pytam się dziewcząt, czy przypadkiem we wsi nie ma gościa o takim samym nazwisku i

i imieniu. Jest - odpowiedziała - na kolonii. - A co to za facet? - I szpieguje i sprzedaje. - To macie szczęście, że tak się zachowaliście bo inaczej to już rozstrzelani bylibyście. O mały włos. - Powiedzieli nam mniej więcej w którym miejscu on mieszka. Chodź. Idziemy tam - powiedziałem do "Smoły". Tylko weszliśmy. Powiedziałem: Dobry wieczór - a gość od razu "Smołę" nożem w tyłek zajechał i w okno. Reakcja odpowiednia znaczy się od razu jest. "Smoła" jeszcze jakoś go za nogę złapał i przytrzymał i na oknie my go zastrzelili, tzn. "Smoła", bo ja tylko miałem dopilnować wykonania wyroku. Nas to łatwo było poznać co my za jedni, bo my do końca nosiliśmy czarne pagony z Brygady "Burego". Ten kto nas widział, wiedział więc, że my nie komunistyczne wojsko tylko partyzanci. Stąd też właśnie zastanowiła mnie reakcja tego pierwszego gościa, którego przez pomyłkę o mało nie rozwaliliśmy. Wiedział przecież kim jesteśmy, a oni do nas ze śmiechem. Dalej mieliśmy czarne trójkąty z literami SWO - Śmierć Wrogom Ojczyzny. To było - ten wyrok - chyba na wiosnę 1947 r.

Gdy było głosowanie 3 \* Tak to nie wolno było zaczepiać nikogo. No i któregoś wieczora szliśmy skrajem wioski, z tyłu stodół, Żebry. Stąd pochodził właśnie "Smoła". Ja siedłem pierwszy, na ubezpieczeniu, jako szperacz. Obok mnie siedł wtedy "Groźny" czy ktoś inny. Nie pamiętam. Nagle usłyszeliśmy okrzyk: Stój! Kto idzie!? - Padliśmy i pytamy się: Kto pyta?. ~~Raz~~ Brak odpowiedzi. Powtórzyliśmy jeszcze raz, drugi, w końcu strzeliliśmy, tzn. chyba ten wartownik raz wystrzelił do góry. Więc my zabraliśmy się i poszli z powrotem. Szliśmy przez jakieś mokradła. Całe buty przemoczone. My też. W końcu zakwaterowaliśmy się na kolonii w lasku. Rano, gdy obudziliśmy się, przy-



chodzi jakaś dziewczyna do mieszkania: A u nas też wojsko jest-  
MUsiała siedzieć z nami, do  
pochwaliła się. Co tu robić. Dziewczyny już nie puściliśmy. Ze-  
półki nie wyszliśmy. Ubranie ledwo wyszło po nocy.  
braliśmy manele i w drogę. Mgła była wtedy rano. A to byli ci  
sami to myśmy spotkali się z nimi poprzedniej nocy. Oni dyla-  
dali przed nami a my przed nimi. Przyjechali do wioski agi-  
tować przed wyborami i zakwaterowali się po sąsiedzku. Nie  
przypominam sobie jednak, żeby w czasie spotkania z tym woj-  
skiem "Gołąb" został ranny w twarz. Raz to kość mu stanęła w  
gardle - to się dławił. To pamiętam.

Podobny wypadek był też jak nocowaliśmy u sołtysa w Nieczy-  
(Nieciki?). Niedaleko Wąsosza i wsi Słucz.  
kach. Rano wstaliśmy a sołtys mówi: Rano UB było - a my ani  
warty nie wystawili ani nic. W jednym pokoju spali. Dobrze, że  
który tam gdzie nie chrapał i ubecy, którzy byli w sąsiednim  
pokoju nie zorientowali się. Myśmy spali a oni z sołtysem roz-  
mawiali. "Gołąb" widocznie miał takie zaufanie do tego sołtysa,  
że nie wystawiał ubezpieczenia. To było jeszcze przed świętami  
Bożego Narodzenia. No chyba, że sołtys specjalnie tak powiedział,  
że on niby taki dobry i pewny.

Gdzieś w okolicach Wielkiejnocy - nie pamiętam już przed  
postu w każdym bądź razie nie było  
czy po "Gołąb" znowu rozpuścił nas na kwatery. "Groźny", Wła-  
dek, ja i jeszcze jeden ze Słucza byliśmy \* razem na kwaterze.  
Siedzimy i gramy w karty. A ja jeszcze wpierw zaszedłem do jed-  
nej pani i mówię: Głodny jestem, może ma pani co zjeść? - Patrzą  
a oni kręcą mięso na wesele. Duża sterta już leży a ona mówi:  
Nie mamy nic - O mięso kręcą i nic nie ma - zdziwiłem się - No  
to dziękuję. Przepraszam - zabrałem się i poszedłem do chłop-  
ków. Oni siedzą i grają w karty. Mówię: Chciałem zjeść i nie  
dała nic. Po paru dniach ona przychodzi do nas i prosi na we-  
sele tego gospodarza, u którego byliśmy i nas też prosi. Wie

pani co ~~o~~ - mówię do niej - jak ja byłem głodny to pani nie chciała mi dać jeść a teraz do pani na wesele ja na pewno nie przyjdę no a Władek poszedł na to wesele. No a my zostaliśmy. Brzyszedł jeszcze jeden z siatki i gramy w karty. Naraz słyszymy: strzelanina, a Władek wziął ze sobą erkaem i poszedł z nim na wesele. Nie wiem. Zdurniał albo co. My wpadamy tam, a gość przepasany paskiem, jakby to była koalicyjka, szarpie za ten erkaem i już go ściąga. Ja nie-wiele myśląc chwyciłem swego "Mauzera" za lufę i kolbą gościa przez łeb. Odskoczył, co, tego. - Skąd - pytam się. Ten powiedział. Ja już nie pamiętam, ale "Gołąb" to pamięta co to za oddział wtedy tam kwaterował. A ten gość był z siatki. Gdzie kwaterują - pytam się - Jak tak można robić hece na weselu. Oberwał wtedy od nas. Pokazał nam gdzie jest ten oddział i "Gołąb" zdaje się wtedy tam jeździł to jeszcze dowódca tego oddziału dołożył temu co rozrabiał na weselu. Na weselu to ja z "Groźnym" wleliśmy mu gumę. Przeciągnęliśmy po plecach. To było niedaleko Nieciek i Ławska. Albo Konopki, albo Zabiele.

Innym razem to gdzie indziej zaprosili nas na wesele. Zaszliśmy w kilku. Patrzymy: jeden facet tańczy i ma dziwnie sztywną nogę. Przyjrzałem się lepiej a to w nogawce "Mauzer" siedzi. Niedługo potem szum powstał na weselu, bo ktoś ukradł jednemu z gości uprząż. A wtedy ze mną byli "Kot" i Władek. Jak ja nie złapię za bata i nie zdzielę x tego gościa po uszach: Gdzie uprząż? - Oddał. I to ~~o~~ właśnie "siatkowicze". To była najgorsza swołocz. Właśnie dlatego wyprawili nas na Grajewo po rozwiązaniu brygady.

Sami raz nie oberwaliśmy. Dostaliśmy meldunek, że już drugi raz ktoś nałożył na młynarza kontrybucję, więc poszliśmy do

tego młynarza, żeby złapać tych facetów. Nie udało nam się jednak. Zobaczyli, że nadjeżdżamy to ostrzelali nas ~~u~~ i uciekli. To przynajmniej na tyle się to przydało, że już więcej tam nie przyjeżdżali do tego młynarza. Musieliśmy zlikwidować te kradzieże bo to było psucie autorytetu organizacji, bo robili to pod naszym szyldem. Potem jak słyszałem, to jak już się poujawiali to niektórzy mówili o nas, że byliśmy na prawdę grzeczni chłopcy. Z każdym przecież postępowaliśmy grzecznie, ładnie.

"Osa" to był taki narwany. Przypominam sobie jak któregoś razu zaszliśmy na kwaterę w jakiejś wsi. Gospodyni gotowała dla nas obiad i coś chyba nie tak jak trzeba odezwała się do niego, to ten zerwał się i strzelił ją w tw~~xxx~~arz. Kobieta rozplakała się. Ooo, zesrałam się - szklachała. Bo to była bez majtek. To było w Steryni.<sup>d</sup> "Osa" był taki właśnie nerwowy. U niego nie było poczekaj. Tak ze sobą to byliśmy w porządku. Znałem go przecież to w jednej miejscowości do szkoły chodziliśmy w Brańsku. On był z Brańska. Miał nazwisko Korzeźniecki (Korzeźniewski? Jan chyba miał na imię - nie wiem). Z Brańska to kilku było u "Burego". Jak na Bodakach w 1945 r. pobili wszystkich to oni jeszcze wianki im wili - tym zabitym. To ze swoją przyszłą dziewczyną tam chodziłem.

Na Prusy z "Burem" to jeździł ten z Cholonek. Wtedy byłem w Klichwach jak oni się organizowali na te Prusy. Potem my z "Gołębiem" byliśmy na tych Prusach. Pamiętam Kozuchy i inne wsie. <sup>Z</sup>Beszcze od jakiegoś gościa zabraliśmy konia. Nie wiem dlaczego, ale widocznie musiał ~~x~~ coś przeszkrobać. Przeprowadziliśmy się. Te konie to były z UNRRY. Zdaje się, że żeby dostać te konie to trzeba było zapisać się do partii. To było właśnie w Kozuchach.

"Osa" to jednak chab był Korzeniecki, bo zawsze mówiłem o nich Korzenieccy. A na imię miał Jan albo Józef. I kolegę mam o tym nazwisku który był w UB w Bielsku. Podpułkownik.

"Gołąb" to chciał posterunek w Kolnie rozbroić, ale poszliśmy tam, poleżeliśmy."Gołąb" zobaczył, że jednak to nie uda się i wróciliśmy. Byliśmy już ~~w~~ pod samym miasteczkiem. ~~Myśleliśmy~~ Myślę sobie: Jak to to będzie? - Odstąpiliśmy jednak. Nie wiem co mu tam przyszło do głowy, bo powiedział tylko, że musimy posterunek rozbroić. Po dwóch godzinach leżenia doszedł jednak do wniosku, że to nie ma sensu. To było już w kwietniu 1947 r. <sup>z</sup> ale jeszcze przed rozbrojeniem ochrony ujawniających się akowców.

"Gołąb" opowiadał jak palili te białoruskie wioski Zanie, Szpaki i inne. No, ale Białorusini to sami sobie winne. Sami strzelali z dachów.

Sam słyszałem strzały jak likwidowali furmanów - Białorusinów w Puchałach koło Cholonek. To cały dzień było strzały sły-koło Puchał. chać. To w lasku ich likwidowali. Nie poszedłem tam wtedy.

Jak staliśmy niedaleko Ciechanowca ~~z~~ to "Gołąb" przy mnie zastrzelił Żydówkę. Nie wiem skąd on ją przyprowadził. Nie pytałem się bo ciekawość u nas to był pierwszy stopień do piekła. Nie tak coś było, przyszedł i łeb stuknął, tak, że można było i zarobić uczciwie. Ten wypadek był tuż przed rozwiązaniem oddziału, tzn. po rozwiązaniu, ale przed naszym odejściem na Grajewo. Sam, osobiście ją przyłomotał. Staliśmy gdzieś na kolonii. Zresztą na grajewskim wyroki wykonywało się tak - byłem w mieszkaniu jednym wtedy w obstawie - że mówiło się gościowi: Kładź się, dostaniesz pyłów, a wtedy jeden z góry - gdy gość już położył się - strzelał mu w łeb. W ten sposób. Facet myślał, że dostanie w tyłek a dostał zupełnie co innego. My wszyscy wykonywaliśmy te wyroki.



Ja jednego sam mu przyłożył. Osobiście. Szedłem wtedy z "Kometą" ~~xxxxxx~~ i zobaczyłem gościa, który krążył i jakby obserwował. Podeszliśmy do niego i poprosiliśmy o dokum<sup>n</sup>enty. Za czym to? - okazało się, że ma przy sobie legitymację ubowską. To było w łasku koło Słucza. ~~xxxxxx~~ Miałem wtedy "Nagana" i ztego "Nagana" przyłomotałem mu: Masz, pospiesz się teraz dalej - mówię. A oddział stał wtedy w łasku. Myśmy tam często bywali. Siedzieliśmy tam w biały dzień. To nasza stolica była. Dowódcą kompanii tamtejszej nazywał się chyba Modzelewski. Często u niego kwatrowaliśmy.

Tego ubeka jak zlikwidowaliśmy to była wiosna. Jeszcze wtedy spotkaliśmy jednego ~~z~~ z siatki. To co, zlikwidowaliście - mówi do nas - Dobrze zrobili. - No ~~to~~ bierzcie go teraz, schowajcie - mówię do niego.

Podobny wypadek był nad Bugiem, jeszcze u "Rekina". To było koło Sterdyni. Nasz wyartownik zauważył faceta, który chodził tam i z powrotem i się kręcił. No i jednego nasi wyprawili, żeby go sprawdził. No to ten drugi to sam durak. Kto to na ~~ś~~ przespiegó idzie i zabiera ze sobą legitymację UB. W łeb dostał.

Jednego milicjanta to ja z "ładnym" puściliśmy, bo zaczął płakać, że on żonaty i dzieci ma, to to wtedy było, ~~z~~ jak tylko amunicję mu wysypaliśmy z pepeszy i co to ja krow<sup>ę</sup> później postrzeliłem.

Jak siedziałem we Wronkach to przyszedł naczelnik więzienia do nas i powiedziała: Nie myślcie, że jak wybuchnie wojna to to będzie oznaczać dla was wolność. Pierwsi o tym dowiedcie, że jest wojna - czyli groził nam, że nas powystrzelają w razie czego. Potem jeszcze powiedział: Michalczuk, jeden raport więcej, jeden gwóźdź do trumny więcej. A jeszcze wcześniej powie-

dział: Wy jesteście niepoprawni. W ogóle nic z was nie będzie. Wy wyjdziecie na wolność, to my wam opinię popsujemy. Wasze dzieci nie będą do szkoły chodzić. - A jak ja wyrok odsiedzę - spytałem się - to puszczą mnie? - Puszczo. - To ja gwizdzę na obywatela naczelnika opinię. - O jak się wtedy wściekłem. Wtedy żona pisze do mnie list: Kochany mężu, piszę do ciebie ostatni list. \* Potem jak przyjechałem na sprawę "Wróbla" to dali widzenie to mało nam tego widzenia nie przerwali. Na wolności żeś rozrabiał i tam rozrabiasz - mówi żona. - Tak, rozrabiam - powiedziałem - tam ~~xx~~ byle za co można oberwać. Dostałem wtedy - po tym jak tak się odezwałem do naczelnika - zakaz pisania i otrzymywania listów przez trzy miesiące. I jak raz ~~xx~~ kara się skończyła i dostałem ten list. Myślała, że ja mam jakąś narzeczoną bo nic ~~nie wiedziała~~ nie wiedziała o mojej karze.

---

Jak aresztowali mego brata to zaraz przyjechała do mnie, do Sławska - 8 km za Koninem - moja siostra cioteczna Jadwiga i przestrzegła mnie, że już ma mój adres. Wtedy ja wyjechałem zaraz do Mochowa, koło Sierpca. Przyjechałem tam na jesieni 1947, a w lutym 1948 r. aresztowali mnie.

W Jak tylko przyjechałem do Wroniek to "fajfusi", ci co sprzęt to w śledczych się bawili. tali i kible nosili, to na wieczór sadzali do nich więźnia i oni jeszcze swoje śledztwo przeprowadzali. Niejednemu żebra połamali. I mnie do takiej celi posadzili. Innego wyjścia nie ma, tylko kłamać - pomyślałem sobie. Wyciągnęli papier i zaczęli pisać te moje zeznania. Było tego tyle, że książka mogła być. Po trzech miesiącach wzywa mnie "spec" i mówi: Śmiejecie się, Jak wam dosolimy, to odechce wam się śmiechów. Benzyny tylko niepotrzebnie tyle spaliliśmy. A ani takich ludzi nie ma ani wioski takiej nie ma. - To trzy miesiące zajęło im sprawdzenie tego co im podałem.

Myślałem, że oni zabawę urządzą, w prokuratora zabawiają się  
- tłumaczyłem się.

Ojciec mój to nie był ~~ma~~ odważny. Nie dziwię się, że jak go  
zbili to powiedział, gdzie jestem. W 1939 r. jak przyszli So-  
wieci i urządzili wiec i dawaj zachwalać swoje ustrojstwo, że  
u nich każdy równy. Ojciec znał rosyjski i pyta się: Kącej ty  
równy, Stalin i ty - a Ruski od razu: Kąca wasza familia a oj-  
ciec od razu dyla.

Ta ostatnia koncentracja gdzieś we wrześniu czy październi-  
ku trwała tylko jeden wieczór. Wszyscy spotkaliśmy się na jakiejś  
kolonii. "Bury" x to zawsze, jak przyjeżdżał, to mówił, że woj-  
na na włosku. Tak i tym razem: Trzymajcie się chłopcy, wojna na  
włosku. Wtedy "Rekin" pojechał do Gliwic studiować, "Bury"  
gdzieś zamelinował się i tak zostawili nas.

Wtedy też podzielili ludzi na nowo, bo ja przecież byłem  
w drużynie u "Osy" a w końcu znalazłem się u "Gołębia". Do nie-  
go to poszli tylko ci najlepsi, ci co mieli trupie łebki, które  
dostali za dobre sprawowanie, bo nie wszyscy mieli prawo do no-  
szenia trupiej czaszki. ~~Wszyscy~~ Trupie łebki były z metalu i no-  
siło się je na polówce z boku. Jak niemieckie były z piszczelami.  
Do tego czarne pagony i trójkąty. Tak więc nasza drużyna była  
wyborowa, ~~w~~ ~~ka~~ ~~ż~~ ~~d~~ ~~y~~ ~~m~~ bądź razie, jak się potem dowiedziałem w  
więzieniu, to ludzie źle o nas nie wyrażali się.

Z x "Osą" i "Wydrą" rozstaliśmy się jeszcze tego samego dnia.  
Każdy poszedł w swoją stronę. My zostaliśmy tu jeszcze ze dwa  
tygodnie. Z "Gołębiem" to nawet do mnie do domu zachodziliśmy.  
W Domanowie to jednemu jeszcze spuściliśmy porządne lanie i za-  
braliśmy "użyn". To był gość z siatki "Huzara". Dostyc długo nie  
przyznawał się do tego "użyna". Porządnie dostał. Musieliśmy tak  
zrobić, bo to zamiast zajmować się konspiracją to chodzili po

starszych ludziach i rabowali. Wlepiliśmy więc temu jednemu, chociaż byli jeszcze inni. Mego sąsiada też w nocy przyszli i zbili.

Jak "Orlik" zastrzelił się to ja już bym w oddziale. To było gdzieś nad Bugiem. Jego drużyna kwaterowała w innym miejscu a moją w innym. Dowiedzieliśmy się o tym jak już było po wszystkim. Nikt nie wiedział nawet z jakich dokładnie powodów. Zresztą dyscyplina w oddziale była. Wiadomo było, że jak ktoś zdezerteruje to kula w łeb. Chłopaki opowiadali, że "Bury" sam strzelał swoich, bo podpadli za kradzież, a w jednym miejscu jak wódkę pólto też o mało co ich nie postrzelał. Butelka się tylko rozleciała. Porządnie trzymał wojsko w ryzach.

Gdy kręciliśmy się z "Gołębiem" w moich stronach to ze dwa-trzy razy zachodziliśmy do moich rodziców. Wiedziałem już mniej więcej, że na kolonii można śmiało przenocować. Znowu pod Pietraszkami, koło Domanowa, byliśmy raz. Ze dwa razy przenocowaliśmy u Dobrogowskiego na kolonii Domanowo, na Kalinowcu- kolonii, 1,5 km od Domanowa. Tam jedna to chyba w ciążę zaszła z jednym z nas i panna dziecko miała. U nas "Wysoki" to był taki babiarz. Potem w łaźni we Wronkach go spotkałem. Jakoś przesunąłem się do niego i mówię: To jak, spotkaliśmy się? - a on ujawnił się, a ja mówiłem mu, że jeszcze spotkamy się a jemu to i tak nic nie pomoże. Natomiast ten mój kolega, który kontaktował mnie z "Osą", to przetrwał - Filipiuk. Mieszkał na kolonii w Cholonkach. Antoni. Nieraz chodził na rozmaite akcje z oddziałem, gdy brali ludzi z siatki. Potem ukrywał się i ujawnił się dopiero w 56 r. Tyle lat ukrywał się, do końca. Zmarł już. No ja za porządnego to go nie miałem, bo potrafił pójść, żeby kogoś obrabować. Gdy kiedyś staliśmy tu z oddziałem, to proponował mi taką robotę: Co



coś ty, albo w lewo albo w prawo. - Jak przychodziłem z oddziału do domu to spotykałem się z nim. Potem jak byliśmy na grajewskim powiecie to też w jedną noc potrafiłem na piechotę przyjść do domu, bo do żony (przyszłej) smażyłem cholewki. Nieraz z Władkiem "Kometą" szliśmy do mnie, a raz to wyprawiliśmy się z nim aż za Bug do niego do domu. On nazywał się Starzałkowski Władysław. Ujawnił się razem z drużyną "Gołębia". Akurat wtedy przyszedłem od żony gdy oni już ~~szli~~ <sup>szykowali się</sup> ujawniać się. Ja, jak szedłem z oddziału do domu, ten ostatni raz, to już wiedziałem, że będą ujawniać się, to jeszcze od Brańska - tu chodził X pułkownik "Dziadek" i Jankowski z Sielca - ten to jeszcze żyje, a chodził do samego końca i nie złapali go, nigdzie nie siedział, starszy jest ode mnie jakieś 3 - 4 lata - przyniosłem dla nich prasę konspiracyjną. "Dziadek" na odchodnym powiedział mi jeszcze - szedłem wieczorem przez łąki na przełaj i spotkałem ich dwóch, Jankowski to mnie znał (jak jeszcze byłem organistą tutaj to przyszedł któregoś razu i zaczął mi rozkazywać co ja mam robić, a ja nie wiedziałem kim on jest a on też nie wiedział, że jestem w siatce - księżda wtedy chcieli wyrzucić, bo nie podobali się im: gospodynię miał młodą itp. Jakoś wtedy wybroniłem tego księdza, ale jak mnie zamknęli to jego wyrzucili. Jeszcze przedtem to ksiądz Łomacki, dziekan z Brańska przyjeżdżał do mnie w sprawie tego księdza, ludzie przychodzili i podpisywali listy, żeby wyrzucić tego księdza, ale powiedziałem, że bym ja czasami kogo nie wyrzucił i jakoś wybroniłem go. Tak, że Jankowski to zły był wtedy na mnie. Mnie to nie podobano się, że na takie rzeczy mają wpływ porachunki sąsiedzkie. Przez to może sporo ludzi niewinnych poszło do ziemi, przez złość i zawiść. Przy niektórych oddziałach partyzanckich to były sądy wojskowe. Jak siedziałem we Wronkach to siedział taki Wąs z Lublina, który

dostał 15 lat, za to, że wydawał w podziemiu wyroki na partyjnych.

"Jesion" to był z kawalerii "Szczygła" od "Burego". Pochodził z ~~Br~~ Brańska. Też do mojej żony smalił cholewki. Znam jego nazwisko, ale nie mogę w tej chwili przypomnieć go sobie. Zginął zastrzelony. Miał już wtedy żonę). No i zawiozłem tę prasę konspiracyjną, ale machnęli tylko na to ręką - "Gołębia" nie było wtedy przy oddziale. Chciałem mu jeszcze podsunąć Bergmanna - Derkacza, ale pożalowałem "Gołębia", wziąłem więc taki ładny sztucerk i razem z "Kometą" przyszliśmy do Cholonek. Tutaj spotkaliśmy "Wydrę". Zrobili wtedy w szkole zabawę. Było ich ze 12-tu "Mokry" z nim był. Jeszcze wcześniej, w oddziale, to on przeważnie mnie golił - umiał golić - (dowódcą drużyny był również "Rysak", wysoki facet. Był nim jeszcze, gdy pod Ciechanowcem natknął się na nas oddział "Głuszcza". Wtedy właśnie byłem u niego w drużynie. Nie wiem co się z nim stało. Sam teraz nie potrafię sobie wytłumaczyć, że zmieniałem ciągle te drużyny. "Rysak" był z wileńszczyzny. W "Mały", czarny "Leszek", "Dzki" z obstawy "Rekina"-~~xxxxxxx~~ oni wszyscy byli z wileńszczyzny.

Wracając do tej zabawy, to pobyliśmy na niej trochę a potem odeszliśmy. Nie wiem jak to się stało, ale Władek potem jakoś skontaktował z nimi i przyłączył się do oddziału "Wydry". Mnie też dali meldunek, który miałem dostarczyć "Błękitowi". Dostałem kontakt na niego. "Mały" też w był w oddziale "Wydry", potem był przy "Błękitcie". W Widźgowie mieszka, niedaleko Cholonek za Brańskiem "Zgrzyt", który też chodził z "Wydrą". Pochodzi z Warszawy. Po ujawnieniu się wyjechał. "Mokry" to był z Łodzi. Jego siostra to nieraz przyjeżdżała na kolonię do M Filipiuka, żeby spotkać się z bratem.

"Wydra" dał mi kontakt na siatkę, która miała mnie sontaktować z "Błękitem". Komendant pochwalił mnie jeszcze, że nie ujawniłem się: Plewy tylko odsiąły się a zostałyo czyste zboże - powiedział. Podtrzymał mnie jeszcze na duchu, ale ja wiedziałem, że nie ujawnię się i tak, bo wiedziałem, że za ten wybryk w czasie amnestii - rozbrojenie winowców na grajewskim, którzy jechali ujawnić się - to i tak nie podarują. Wyraźnie przecież było powiedziane, że takich rzeczy w czasie amnestii nie wolno robić. Można było z pistoletem pojechać do miasta i oni nie zaczepiali nas i nam nie wolno było.

Spod Ostrowi znowu na piechotę wróciłem do Cholonek. W Brańsku wziąłem ślub. Dawał nam ślub gość, którego poznałem już wcześniej i on mnie poznał. Bałem się, żeby jakiejś draki nie było. Po prostu któregoś razu byłem w Cholonek u narzeczonej i mówią, że we wsi jakieś zebranie. Z grajewsiego wtedy przyszedłem. Myślę sobie: Zajdę i zobaczę co tam jest na tym zebraniu. Jak propagandę sieją. Byłem oczywiście w mundurze z odznakami brygady. Pistolet w kieszeni. Przyszedłem i usiadłem w z tyłu. Jej wujek potem opowiadał - sołtysem był - że wystraszył się, bo może zastrzelić chłopak (to o mnie). Ten gość też wystraszył się. Młody chłopak. No i potem mówię do żony: Kur zapiał, ten sam. - Ślub cywilnego nam udzielili. Potem wzięliśmy kościelny. Niedługo potem o mało mnie nie złapali. Ojciec wpadł do domu i krzyknął: Zmykaj, bo na tamtej ulicy są już z Mazowiecka. - A oni wtedy za "Huzarem" wchodzili. To był kwiecień - maj. Zaraz potem wyjechałem w poznańskie. I na jesieni żona dołączyła do mnie. Tu też na obławę trafiliśmy. Szedłem już prosto na nich i myślałem: Jak zatrzymają to... - ale nic, idziemy śmiało, rozmawiamy. Popatrzyli tylko na nas i przepuścili. Stali na skrzyżowaniu wsi a reszta była we wsi, szukali. & To było

w Cholonkach. Przyjechaliśmy wtedy odwiedzić rodziców i szliśmy właśnie do Domanowa. Stąd rodzice dokładnie wiedzieli, gdzie ja jestem.

Tak, że w rodzinnych stronach po ujawnieniu to byłem jeszcze dwa miesiące. W czerwcu doszedłem do wniosku, że trzeba stąd zniknąć i wyjechałem w poznańskie.

---

W więzieniu w Białymstoku, po sprawie, gdy przygotowywali transport do Wronek, to wpakowali nas do jednej celi. Całą noc śpiewy, krzyki. Białorusini, klawisze, uciszali nas, ale to nic nie pomagało. Oni zresztą odnosili się do nas bardzo dobrze. Potem, we Wronkach, to powiedziałem, że wolę tych naszych Białorusinów niż poznaniaków.

Jak zawieźli nas do Wronek to wprowadzili przez bramę, na której był napis: Przez pracę do wolności. - Jak raz w Oświęcimiu - pomyślałem. To był listopad. Deszcz padał, dookoła błoto a oni kazali nam siadać w kucki w te błoto. Z godzinę czasu tak siedzieliśmy. Potem wprowadzili wszystkich do takiego długiego, ciemnego korytarza. Ustawili nas w szeregu i kazali się rozbięrać do naga. Sprawdzili w naszych ubraniach każdy szef. Gdy sprawdzili w końcu wszystkich to: Zbierać się, biegiem marsz - i kopa, i gumą, czym kto mógł okładał nas. Rozstawione były wszędzie. Korytarze po środku więzienia krzyżowały się i nie wiadomo było w którą stronę biec, na górę czy w dół, czy w lewo czy w prawo a z każdej strony biją, kopia. Jak wpadłem do celi to tak mnie kropnął w głowę, że o mało co w ścianę na przeciw ciwko nie zaryłem. Oczywiście cały czas byliśmy nago. Starsi ludzie to niektórzy pogubili te swoje rzeczy. My w śmiech w celi a starsi mówią: Im śmiech, a tu koniec świata. - Każdy stoi nago wystraszony i trzęsą się jak galareta, a nam śmiech. A co, ja mam tu płakać - mówię. Zamknęli drzwi i siedzimy. Za pół go-



dziny przychodzi strażnik. nazwisko - mówi do mnie. Powiedziałem. Wychodzić! - A skąd oni wiedzieli, kto gdzie jest w tym całym bałaganie. Zaprowadził mnie do celi o wymiarach gdzieś 1,5 na 3 m. Po chwili drzwi celi otworzyły się i do celi więźniowie lu jedno za drugim wiadra wody. Jedno, drugie, trzecie. Stoją już w wodzie po kostki. Zbierać natychmiast! - Nie mam czym odpowiedziałem ~~byłem~~ odpowiedziałem. - Spodniami. Za 5 minut to wszystko ma być zebrane. - Jakoś pozbierałem tę wodę do kłóbla, trochę szufelką, którą znalazłem. A na korytarzu w tym czasie cały czas szum. Biegi i w lewo i w prawo, i po schodach z góry na dół i odwrotnie. Nie wiem co się dzieje. Sam przecież siedzę. I tak cały tydzień posiedziałem sam. Potem przerwali mnie na celę ogólną i jakoś tak trafiłem, że tam siedzieli z małymi wyrokami, tak, że tylko po kilka miesięcy im zostało do wyjścia. Rano przychodzi strażnik i pyta się: ile kto ma. Jeden mówi: trzy, drugi: pięć, trzeci: dziesięć (wszyscy mieli oczywiście na myśli miesiące). Mnie się pyta: Wy ile? - Piętnaście - nie powiedziałem tylko czego. Dzięki temu że trzy dni chodziłem to do stolarni, to gdzie indziej, ale widać ktoś zakapował. Po trzech dniach przyszedł oddziałowy: Zwiąć manele. Ja ci dam piętnaście. - Przez ten artykuł szczególnie niebezpieczny to już do żadnej roboty nie dostałem się. Dopiero pod koniec pobytu we Wronkach poszedłem ~~na~~ pracować jako fryzjer. Nie umiałem gościć więc więźniom dawałem, żeby sami się golili. Oczywiście to było surowo zabronione, żeby więźniowi dawać brzytwę do ręki, więc robili to kryjąc się za siennikami, ~~którzy~~ a oddziałowy patrzył przez dziurkę i sprawdzał. Któregoś razu oddziałowy nagle otworzył drzwi, ledwo zdążyłem schować brzytwę do kieszeni, nie zdążyłem jej złożyć i mocno zaciąłem się w palec, tak, że jeszcze dzisiaj mam znak na palcu po tej ranie. Oddziałowy

jednak nic nie zauważył tylko kazał wychodzić.

Siedziałem z gościem ze sprawy francuza Robineu, który kapował. To był młody chłopak. Znał perfekty angielski, niemiecki, rosyjski po rodzicach, polski i oczywiście francuski. Opowiadał mi jak go na szpiega uczyli. Od dzieciaka z Polakami przebywał właśnie w tym celu. Przyjeżdżał do niego konsul z francuski, to płakał, że na kapowanie dał się nabrać we Wronkach. Ktoś doniósł o tym do ambasady. Oczywiście przyjeżdżali do niego z ambasady, przywozili paczki - przynosił je do celi, to jeszcze częstował mnie tym wszystkim, L'Humanite dostawał - ale konsul od razu powiedział mu, że nie ma po co wracać do Francji. Podobno powieści się - taka fama poszła. Mnie natomiast po pięciu latach przewieźli do Sieradza. Z tym gościem ze sprawy Robineu to siedziałem z 5 miesięcy przed wywózką do SierADZA. Siedziałem też z sekretarzem Mikołajczyka - Kulerskim. On też siedział cały czas na pojedynce. Kanapkę mi swoją oddawał, bo lepiej dostawał jeść. Nawet mam jego wzór z matematyki. Wyciągnął mi pierwiastek sześcienny. Siedział w celi obok. Jak wyprowadzali mnie na korytarz to podrzucałem mu pod drzwiami zeszyt i on pisał mi. Ten zeszyt jeszcze mam. Mogłem to robić bo oddziałowego uratowałem przed wpadką. Któregoś razu byłem na korytarzu a on był kompletnie pijany, gdy zobaczyłem, że naczelnik nadchodzi. Jakoś wciągnąłem go za fraki do dyżurki i mówię, że naczelnik idzie, to zerwał się i poszedł do ubikacji. Tam się skrył. Potem mi kanapki przynosił za to.

W Sieradzu też nie chciałem pracować. Był tam lekarz, który opiekował się nami. Rentgen własny kupił. No i pyta się.: Boli co? - Specjalnie nie. - A chcesz na szpital iść. - Czemu nie. I poszedłem do szpitala. Na trzy miesiące. Potem znowu poszedłem do niego. Co znowu chcesz? - No, dobrze karmią, siostry z wol-

ności przychodzą. No i drugi raz poszedłem do szpitala i stamtąd już w maju 1956 r. wyszedłem na wolność.

W tym więzieniu była zorganizowana ucieczka. Kierował tym mój kolega z celi we Wronkach - Jankowski. Pochodził z Rzeszowa. Razem z nim jeszcze jakiś major też to organizował. Jankowski miał dożywocie za NSZ. Potem amnestia zamieniła mu to na 12 lat. To ~~na~~ gdy go drugi raz złapali to dostał po raz drugi dożywocie. Przed samą amnestią. Ucieczka była dobrze przygotowana. Wszyscy klawisze byli rozbrojeni i powiązani i zakneblowani. Samochód już czekał, ale zdurnieli i puścili na "Bociana" klawisza z erkaemem, który współpracował z nimi wcześniej. Widocznie w ostatniej chwili przestraszył się i posiał po nich z tego erkaemu i powstrzymał ucieczkę. Zaraz wojsko - KBW - otoczyło wszystko. Rano ja patrzę - byłem wtedy właśnie w szpitalu - śniadania nie ma. W nocy słychać było jakieś strzały. Wszyscy dziwimy się: Co jest, wojna nie wojna. A on mnie też namawiał - kolega z Wronek przecież, tylko, że ~~ja nie~~ nie otworzyli drzwi do naszej sali, do cel to pootwierali. No i rano wszyscy dziwimy się co jest. Obiada też nie dają. Na korytarzu jakiś szum. Do celi w końcu weszli w mundurach wojskowych. Nic innego tylko wojna. W końcu okazało się, że to ucieczka była.

Wcześniej też była ucieczka w Sieradzu. Więźniowie pracowali na zakładzie krawieckim i szyli mundury dla klawiszy. Gdzieś kilka ich zamelinowali, przebrali się, strażnika zdjęli z bociana i przez bociana uciekli. Ta pierwsza ucieczka udała~~xi~~ się. Tylko że to było przed naszym przywiezieniem do tego więzienia, natomiast ta druga ucieczka to była przed samą amnestią w 1956 r. w styczniu albo lutym. No i po co to było tobie potrzebne? - myślałem sobie. Amnestia go nie objęła. Jak potem koledzy mi opowiadali, na sprawę do niego przyjechała żona, to powiedziała: I

mnie razem zamknijcie. - Płakała.

Do Sieradza jak mnie przywieźli, to już nie chciało mi się szyć na tych maszynach bo nerwy już zaczęły mi wysiadać. Ręce mi się trzęsły. Zresztą już wcześniej przecież we Wronkach te moje rozmowy z nimi to były całkiem nieodpowiedzialne. Raz to kolega mnie uratował. Klawisz przyszedł i leje wodę do celi. Jedno wiadro, trzecie, piąte, szóste, po oczach pryska. Nie wytrzymałem: Huj! - krzyknąłem. Co? - Huj. Klawisz drzwi zamknął a koledzy mówię: Zaraz będziesz miał. Ale usłyszałem jak klawisz otworzył drzwi do sąsiedniej celi. Jakiś szum słychać a potem słychać na korytarzu: plask, plask. Szum potem się zrobił i to mnie uratowało, bo zapomnieli o mnie. A ten klawisz to przyczepił się do nas dlatego, że nie podobało mu się, że ziemniaki wystawiliśmy na szufelce. Po prostu zgniłe ziemniaki, czarne takie. Nikt tego nie zjadł. Wystawiliśmy je na szufelce a kajfusy zabrali to i przynieśli szufelkę nie wyczyszczoną i taką zostawili. Co taka brudna szufelka - pokazuje oddziały. Bpó ziemniaki wystawialiśmy. - To czemuście nie zjedli ziemniaków? - Takich ziemniaków to i świnia nie chce jeść. - Taak. Porządkowy wody - wydał rozkaz oddziałowy.

Do karceru nie trafiłem jakoś przez te wszystkie lata. Raz trafiłem na "twarde łożo". Pozbierali nas takich, co to tę karę zarobili. Ja dostałem 3 miesiące za rozmawianie na spacerze. Wtedy to właśnie również zostałem pozbawiony korespondencji i żona już myślała, że opuściłem ją, bo nie odpisuję \* przez tyle miesięcy, a ja ani nie dostawałem przez ten czas jej listów, ani nie mogłem ich pisać. Zebrali nas całą gromadę do ma-lutkiej celki. Byliśmy ścieśnięci jak śledzie. Okno zamknięte. Lato. Upał. Wszystko nam zabrali. Na gołych dechach tylko spa-liśmy. Najgorzej to mieli ci co palili, bo nie mieli papiero-



sów i denerwowali się. Ja nie paliłem to miałem spokój. Nie raz słychać było jak na górze "heblują" drewniakiem, szmaty i kłulki robili aby tylko dyxmu troszkę. Nieraz potem mówiłem: Wytrzymał trzy miesiące to i dalej by wytrzymał z tym paleniem

Naczelnik to przychodził do mnie na dyskusje. Wściecie co? Wasze gazety kłamią, nic prawdy nie piszą. Dajcie nam amerykańskie poczytać. - A co, chcecie się dowiedzieć kiedy wojna będzie i wyjdziecie? Nie, nie wyjdziecie. My pierwsi się dowiemy jak wojna będzie i was wystrzelamy. - Nazwisko tego naczelnika było Grabowski. Ależ to była świnia. W nocy, godzina 12-ta albo 1-sza, przychodzą, zbudzą: Wychodzić na korytarz - i ustawiają nas twarzą do ściany a oni w tym czasie w celi urządają "kipisz". Szukają po siennikach, słomę powywalają jak i wszystko zresztą, a my stoimy nago. Jak który miał medali na szyi to sam chodził do każdego i zrwał i rzucał na podłogę: Jeszcze to świństwo noszą - krzyczał. W paczce czasami przyślą, to oddziałowy czasami oddawał, a ten zrywał. Sam naczelnik. Gnoje - mówił - ja was zgnoję tutaj. Capstrzyk był o 13-tej. Natychmiast trzeba było się rozebrać, ubranie ułożyć w kostkę i położyć na stołku, na tym ręczniki a na nich łyżki. Wszystko musiało być ułożone równiutko. I to wynosiło się wtedy na korytarz. Oddziałowy przychodził, drzwi otwierał, wszyscy musieli stanąć na baczność a ja mówiłem: Baczność! Obywatelu oddziałowy, więzień <sup>karny</sup> Michalczuk Antoni melduje stan 6, obecnych 6-ciu, gotowi do snu. - Dobranoc! - Dobranoc!. Za każdym razem, jak tylko otwierały się drzwi celi trzeba było podawać komendę: Baczność, wszyscy ustawiali się migiem pod ścianą i meldować: Cela przy zajęciach własnych. - Tylko nie wiadomo było jakie zajęcia. jak wojna w Korei była to kazali miski aluminiowe czyścić do połysku. Dawali kawałek papieru ściernego, smalcu się dawało jeszcze

żeby gładko wychodziło. Musiało być jak lusterko. Cały dzień to robiliśmy, to jeszcze przychodzili i patrzyli przez "judasza" i patrzyli, czy my to robimy. Każdy czekał wtedy na koniec komuny. Każdy na pamięć nauczył się, gdzie jakie miasto w Korei leży. Gazet nam nie dawali, ale zamiast papieru toaletowego dawali kawałki gazet, porwane na paski. Składaliśmy więc je i czytaliśmy.

We wronkach nie było ani jednego kryminaliści. Ze mną też nie było nikogo, kto by ~~tylko~~ miał tylko wykształcenie podstawowe. Kazio Goszkowski - doktor ekonomista, Redke - słynny adwokat - co dzień po łacinie przypominał sobie jakieś teksty, właśnie ~~on~~ on nauczył mnie trochę gramatyki z łaciny, Lis-Olszewski - prokurator ze Lwowa, angielskiego mnie trochę uczył. Potem okazało się, że to mahometanin. Ja nie wiedziałem o tym na początku. Rano wstanie, jak słońce wschodzi, podejdzie do okna, ręce założy na głowę i tak nimi porusza dookoła niej. Myślałem, że może gimnastykę robi, a potem mnie koledzy mówią: on wyznania mahometańskiego, historyk Kowalski z Krakowa, ale to był komunista. Klóciłem się z nim cały czas przez tę historię. Był też jeden, który dostał 12 lat za obrazę <sup>państwa</sup> ~~państwa~~ Jechał pociągami, rozmowa się toczy, i zobaczył krowy na pastwisku: O, zobaczcie, polskie traktory chodzą - i zaraz na następnym przystanku podeszło do niego dwóch w cywilu, pokazali legitymacje i powiedzieli: Proszę wysiadać - tak, że zatrzymał się dopiero we wronkach.

Wokół korytarza były balustrady na każdym piętrze. Gdy jeden ~~na~~ nauczyciel wyskoczył ~~x~~ i zabił się ~~i~~ to wtedy założyli siatkę. To było na Wielkanoc. Nie mógł wytrzymać nerwowo. Przynieśli zupę, a on wykorzystał sytuację, że drzwi otwarte i rzucił się w dół przez balustradę. Podobno ~~f~~żona go rzuciła.

Jeśli chodzi o przypadki homoseksualizmu wśród więźniów to coś takiego u nas nie miało miejsca. Przecież to byli sami polityczni. W Białymstoku to było różnie, bo i kryminalni tu byli, ale takiemu w nocy koc na głowę narzucało się i dawało po łbie. Nie wiedział nawet od kogo dostał. Ja to w ogóle nie wiedziałem, że coś takiego może być. Dopiero jak wyszedłem z więzienia to dowiedziałem się. Każdy przecież pobożny był.

Parę razy w partyzantce miałem szczęście. Zimą jechałem z "Kometą" sankami na Ostrożanyx - Drohiczyn. Traktem bitym. I proszto na nas jedzie z pięć sanek naładowanych wojskowymi. Nie wiem co oni tu robili, może na obławę jechali. My też w mundurach, tyle że zakryte były bo mieliśmy na nie nałożone kozuszki. Szykuj automat - mówię do Władka, a do furmana: Konia batem i szybko jechać. Byliśmy już tak blisko tych wojskowych, że nie mogliśmy zawrócić. Mijamy się na szosie. Jedni na drugich spojrzeli i pojechali każdy w swoją stronę. Właśnie wtedy wróciliśmy z grajewskiego.

Innym razem na tym terenie też o mało nie popadłem. Szedłem wtedy drogą \* i - jak to miałem w zwyczaju - odmawiałem różaniec. To był listopad. Ubrany byłem w cywilną marynarkę a oni jechali i robili pacyfikację terenu. Nic nie słyszałem, Ale wyczułem zapach benzyny. Odwróciłem się, patrzę: a tu już jedzie ciężarówka, a na skrzyni już stoi erkaem, a na błotnikach stoją ubecy, przygotowaniu już do skoku. Patrzę: do wsi jeszcze ze 300-500 m. Przyśpieszyłem więc tylko kroku, żeby nie dać poznać po sobie, że ja uciekam. Doszedłem szybko do wsi i skryłem się za pierwszym budynkiem i czekałem aż nadjadą. Gdy zbliżyli się do tego domu, szybko cofnąłem się z powrotem i biegiem do lasu. Ubiegłem może 300 m gdy usłyszałem: Stój, bo strzelam - ja nic, dalej biegnę. Drugi raz krzyknął, trzeci raz i w końcu

jak posieli po mnie, to tylko między nogami mi się zakurzyło. Na polu młody chłopak orał kofmi, skierowałem się do niego. Chłopak uchyla się w tę i we wtę. Padnij, leż - krzyczę do niego - - bo cię zastrzelą. Jak do niego dobiegłem tak oni przestali strzelać, a mi właśnie o to chodziło. Od niego już niedaleko miałem do lasu. Żołnierze gonili za mną. Dobiegli do tego chłopaka i wyprzęgli jego konie i pogalopowali za mną. Ja już jednak wpadłem między drzewa. Teraz, to wy pocałujcie mnie w nos - pomyślałem sobie. Nie mogłem się ostrzeliwać, bo miałem tylko broń krótką, nieskuteczną na tę odległość. Pobiegłem w głąb lasu, a oni pojeździli od drzewa do drzewa i wrócili. Ja zaś pobiegłem przez ten las i zaszedłem na kolonię do znajomego nauczyciela. Przespałem się u niego w stodole. Drugiego dnia mówi on do mnie: Ma pan szczęście, że nie dał się wzięść, bo jak by pana wzięli to już koniec pana by był. Bo tu, w Grodzisku takie skurczybyki kwaterują, że tylko obławy robią. Przez pana to jeden gospodarz dostał porządne lanie. Wiózł drzewo z lasu. Położyli go na tym drzewie i tak go leli, żeby powędział, gdzie ja pobiegłem - no a przecież on nie mógł mnie widzieć, bo jechał drogą, a ja uciekałem lasem..To jeszcze było przed pójściem na grajewskie. Wracałem wtedy do oddziału ze Smarglic, gdzie mieszkał ojciec mojej narzeczonej.

Raz szedłem przez kolonię i nadziałem się na żołnierza. Erkaem już leżał na płocie i usłyszałem tylko:Stój! i dawaj wy-pytywać się. Zaprowadził mnie do dowódcy. Okazało się, że natknąłem się na oddział "Wiktora". To poczęstowali mnie jeszcze kilkoma kieliszkami wódki. "Wiktor" wypytał się gdzie jest "Gołąb" - to byxło też w Smarklicach - i spotkał się z nim. O czym rozmawiali to nie wiem, bo mnie przy tym nie było.

Innym razem też siedziałem u ojca mojej żony w Smarklicach.



Przy kuchni siedziałem, w piecu paliło się. Między kolanami trzy mam karabin, nagle do izby wchodzi wojskowi. Ja też w mundurze z oznakami brygadowymi. Zdrętwiałem w pierwszej chwili. Szybko jednak dogadaliśmy się. To było jak jeszcze u "Burego" byłem. To też był "Wiktor".

"Zygmunta" to spotkałem jeszcze w 1945 r. w Dziadkowicach. To był dopiero przystojny facet. Ja tam mogę czasami i pójść, jak trzeba - mówię do niego. Trzeba pracować, to nie taka łatwa sprawa - odpowiedział mi - Taki młody chłopak, to szkoda. Już chyba wtedy planował wyjazd za granicę. A mego kolegę z Domanowa, co chodził u "Huzara" to ktoś powiesił. Nazywał się Łapiński Leonard. Też siedział. ~~xxxxxxx~~ w zeszłym roku znalazł go powieszzonego na kłamce w łodzi, gdzie <sup>z</sup> mieszkał. Dla mnie jednak to on za często sam chodził. I z pistoletem, i po cywilnemu. Nieraz jak jest we wsi to strzelanina. Na niego mówię, że zastrzelił Kozdroja, co z córką organisty w Brańsku ożeniony był. Ten Kozdroj współpracował z Niemcami w tym obozie w Brańsku. Wtedy, po wojnie, i księdza w Brańsku ktoś sprzątnął, tak, że może teraz się zemścili. Na mnie przecież też było podejrzenie, że to ja zabiłem w Cholonekach jednego faceta. A ja wtedy rzeczywiście byłem tego dnia w Cholonekach. Przyszedł wtedy do mnie "Mokry" i mówi, że właśnie zabili takiego i takiego w Cholonekach bo "Mokry" był z całą swoją grupą. To było gdzieś na wiosnę 1947 r. Ten gość Jasiuk się nazywał. Niedługo przed ujawnieniem, a może to było w 1946 r. Spytałem się wtedy "Mokrego": Ktoś od nas? - Nie - odpowiedział. Potem zwalono to na "Głuszcza". Jasiuk był konfidentem. Właśnie na tego Śliwińskiego - tego amerykańca, u którego mieszkałem - donosił. Cały czas to była jego sprawa. Wszystko co się we wsi działo, to było dzięki niemu. Jego rodzina miała cały czas do mnie pretensje. To Białorusini.

Tych Białorusinów w Cholonkach było akurat dwóch. Drugi ~~z~~ z kolei ukrywał tego Śliwińskiego. Jasiuk natomiast z zawiści to robił bo o pannę poszłox z tym drugim Białorusinem. Zresztą coś takiego nie było możliwe, żebym ja wykonał ten wyrok, bo przecież w tej wsi wszyscy mnie znali, zawsze wyznaczało się do takich zadań obcych. Owszem raz zdarzyłox się, że nie było kogo posłać to posłali mnie i jeszcze jednego, bo trzeba było faceta szybko zlikwidować. W Kołakach to było koło Ciechanowca. To był gażowy, który mieszkał we wsi i współpracował z UB. Rąbneliśmy go na miejscu, tyle że wyprowadziliśmy go do drugiego pokoju.

Na śledztwie to pytali się mnie o tych oficerów, co to ich wzięliśmy z punktu ~~kontrolnego~~ kontrolnego. No ale skąd ja mogłem wiedzieć, skoro to kto inny robił. Poprowadzili w sobie tylko znane miejsce i koniec. Jak ich braliśmy to jeden jeszcze wyciągnął z kieszeni nabój od pepeszy i mówi: Mam tu jeszcze ostatni. - Oddawaj, oddawaj - pomyślałem sobie - i tak już ci to nic nie pomoże.

Na grajewskim powiecie dwóch to sam osobiście zastrzeliłem. Oczywiście do żadnego na sprawie nie przyznałem się. Tylko za współudział wlepili. No i zarzut był: napad na jednostkę woj-  
skową. To jak konwojenci mnie prowadzili to słyszałem jak jeden do drugiego powiedział: Oo, ten to w czapę dostanie - bo oni już mój akt oskarżenia czytali. Ja to raczej już liczyłem na amnestię. Do wyroku zastosowali mi obie.

Pierwszy raz wykonywałem wyrok właśnie w Kołakach. Razem z Władkiem \* i właściwie to on sam strzelał. Ja tylko z nim byłem. Mnie to kobiety żal było, bo zaczęła płakać, modlić się, bo wiedziała, że przyszliśmy po jej męża. Za bardzo to mi się nie podobało.

Według mnie to tych wszystkich kapusi z więzień zasiadających w Związkach Więźniów Politycznych to trzeba ujawnić. Pamiętam jak wrzucili mnie do celi do kapusia. Nie wiedziałem o tym. Facet stał, gazetę czytał i jeszcze nogą gniótł gazetę mówiąc: To komunistyczny szmatławiec. I rozpracował niejednego jak potem się okazało. Jeden gość niechcący, przez swoją ostrożność, dziadka swego wsadził. Przyjechałem wtedy z rozprawy "Burego" w Białymstoku i mówię do niego: Pogadałeś sobie pod celą fajnie to dziadek siedzi. 5 lat dostał. A to właśnie było w ten sposób, że chłopak opowiadał jak to dziadek konia przechowywał takiego co to przychodził do niego. Kapuś był w tej samej celi i dziadka zaraz aresztowali. Kurzyna nazywał się. Dziadek fajny był. Miał taką futrzaną czapę zimową i jak ktoś tylko się smuci to buch go łeb tą czapką: Czego się smucisz? - do niego.

Żadnych konfliktów wewnętrznych związanych z tym, że uczyłem się na księdza, a musiałem zabijać ludzi nie miałem. Teraz to nawet tego nie żałuję. Zresztą z tymi księżmi to też różnie było. Sam widziałem przed wojną, jak biedna kobieta przyszła do księdza, żeby jej męża pochował, ale nie miała pieniędzy na pogrzeb. Gówniarz jeszcze wtedy byłem. Ksiądz wyszedł z zakrystii i zaczął przeklinać ją. Byli też i dobrzy księża.

Pamiętam też jak z całą drużyną "Gołębia" pojechaliśmy na Prusy i wykonaliśmy wyrok w Kozuchach. Zabraliśmy wtedy konia, którego dostał z UNRRY. Potem innym razem zajechaliśmy do wsi. To było w nocy. Deszcz padał. Kazali się gościowi położyć, że niby dostanie lanie - ja byłem wtedy w środku, więc widziałem - wyczytali mu jego grzechy i zamiast baty dostał w łeb. Nawet nie spodziewał się tego. Jednego to my z "Kometą" sprzątneliśmy w lesie, gdy szpiegował. To tego sam rąbnąłem z Nagana. W nasłej wiosce już UB czekało na niego.

Żadnych dyskusji na temat wykonywania wyroków nie było. Jeśli chodzi o Białorusinów to oni już przed wojną współpracowali z Rosją. W Potokach był jeden taki Antoniuk. Jak przyszli zlikwidować go to w piwnicy znaleźli w zakorkowanych butelkach przedwojenne jeszcze komunistyczne ulotki. Oni już przed wojną szykowali się.

Ci chłopcy, z którymi rozmawiałem, to uważali, że słusznie spacyfikowali tych Białorusinów. Ci co do końca zostali, uważali że należało im się. Propaganda zresztą była taka zawsze, pogadanki były na temat tego kto jak jest ustósunkowany. "Leszek" czarny prowadził te pogadanki i niektórzy z drużynowych. "Dziki" też, "Mały". Mówili, że Białorusini to wrogowie. Młodzi to nie znali tej historii a starsi opowiadali jak to było jak wojna wybuchła. Ten Antoniuk to wychował jednak swego czeładnika - mój kuzyn z Domanowa - na komunistę i ten do dzisiaj został komunistą i nie może darować sobie, że komuna się rozpaDła. A u nas wszyscy wierzyli, że ta wojna będzie. "Rekin" wierzył i przekonywał nas. Szkolili nas. Wykłady i musztra codziennie były. Uczyliśmy się balistyki. Czasami "Bury" przyjechał i mowę odpalił, że Anders niebawem przyjedzie. Zwyciężymy, bo prawDA PO naszej stronie , mówił. Musiał jakoś w nas tę wiarę podtrzymywać. Nawet na grajewskim też wirzyliśmy w tę wojnę, chociaż byli już i tacy, im później było, którzy tak rozmawiając ze sobą, mówili, że nie wierzą za bardzo w to wszystko. "Groźny" też już chyba wątpił. Ten ~~x~~ to o mało mnie nie zabił. O mały włos. Stał wtedy na warcie a ja chciałem z nim po prostu porozmawiać. Szedłem do niego a ten do mnie: Stój! Bo strzelam. - Ja myślałem, że on żartuje, a on pociągnął za spust, trach i niewypał. Wyciągnął ~~kuszkę~~ nabój i pokazuje mi. Byłby mnie wtedy zasatrzelił. Stałem wtedy od niego kilka kroków, musiałyby



więc trafić. Jak usłyszałem trzask zamka to nogi pode mną się ugięły. Na warcie to ja nie żartuję - powiedział "Groźny". To zina było chyba. ja rano wstałem i - myślę sobie - pójdę, porozmawiam. Potem to już ostrożnie z nim postępowałem.

Na grajewskim dołączył do nas "Olsza" - starszy facet. Był też "Kot". Pochodził z terenów zza Buga, z warszawskiego. Któregoś razu ~~xxxxxxx~~ wrócił na kwaterę i opowiadał, że we wsi trafił na obławę, ale jako, że był w mundurze (chociaż miał czarne pagony), chyba miał jakąś kurtkę, bo to była jesień. Tamci też mieli kozuchy, i nie zatrzymali go, to chwalił się tym chyba, że ~~tykkk~~ kłamał.

"Gołąb" żadnych tam pogadarek nie wygłaszał, nawet jak popili trochę to nic nie mówił, tak, że tam na grajewskim to dyscypliny już specjalnie nie było, z tym, że zachowywaliśmy się grzecznie. Sami pilnowaliśmy się. Jedynie raz jak popiłem sobie to z Władkiem pogoniliśmy żołnierzy. ~~Zabikxxxxxxx~~  
C  
~~śxxxxxxx~~ Niehąco krowę przestrzelił dla gospodarza. Człowiek jak podpije to ryzykant.

Ja to do końca wierzyłem w wojnę, nawet tam na grajewskim. Niektórzy to jednak już znacznie wcześniej stracili wiarę w możliwość jej wybuchu. Taki np. "Mokry" mówił mi: Nie mam powrotu, bo dezertor z wojska. Tak samo "Rysak". Między sobą tak rozmawialiśmy. "Rekin" już z nami nie był i tak rzucili nas. Mówili, że to do niczego nie doprowadzi, że przyjdzie się głowy ponakładać. Ja jednak byłem nastawiony na jedno. W więzieniu to też tym żyłem. Potem zresztą też. W stanie wojennym też działałem w KPN-ie. Żeby tych rozmaitych utarczek nie było, żeby cicho siedzieli, to komuna dalej byłaby, tylko bez przerwy ~~xx~~ ktoś rozrabiał przeciwko nim, Niejeden głowę nałożył i w więzieniu. Przecież taki z doktoratem Kazio Goszewski

też wierzył w to. Wrócą się czasy przedwojenne? - Wrócą - odpowiadał. Wydają zupełną, nalewają dla takiego dziadka. Oddziałowy pyta się: Dziadku, Anders na białym koniu przyjedzie? - Przyjedzie - odpowiadał z przekonaniem. Ludzie wierzyli.

Po ujawnieniu mogłem przyłączyć się do "Wydry" ale oni już za bardzo mi się nie podobali bo za dużo pijaństwa i zabawa. KRADZIEŻE zaczęły być. Ludzie mówili. "Wydra" już w tym czasie gwiazdki się dobił. To widziałem jak spotkałem ich w Cholonkach po ujawnieniu jak zabawę urządzili. Panów spędzili, nie wszystkie chętnie szły. Przyjedzie taki partyzant: Na zabawę - i trzeba iść. Chciała nie chciała szła. Niejedna pewnie sobie pomyślała co innego. UB przecież w każdej chwili mogło otoczyć wioskę i po zabawie byłoby. Śmiały się \* bo czasami trzeba się śmiać. Niektóre nie zdawały sobie sprawy, ale niektóre zdawały sobie z tego sprawę, jakie to mogą być konsekwencje. Moja żona też była na tej zabawie to mówiła mi. "Bury" by na to nie pozwolił. Nigdy. Owszem jak oddział duży był to zaszło się na zabawę, ale jak już ona była. Posiedziało się godzinę i uciekało się. Pamiętam jak raz z całym oddziałem - byli wtedy i "Bury" i "Rekin" - byliśmy na zabawie w Kobylach, w sadzie. Niedaleko Ciechanowca. Niedługo po tym jak przyszedłem do oddziału.

Owszem na grajewskim poszedłem na wesele. Strzelaliśmy państwu młodemu do wiwatu, gdy wyjeżdżali do ślubu. Potem nad ranem to furman batów dostał ode mnie za kradzież uprzęży. A ten z karabinem w nogawce spodni to był na pierwszym weselu, co to ja rozgniewałem się i nie chciałem pójść.

Zastępcą "Gołębia" był "Wysoki", a potem to już "Groźny". "Wysoki" taki groźny to nie był. Raczej babiarz. Nie wiem kto wpadł na pomysł rzeźbrojenia tych winowców. W oddziale był taki inteligenciak, który niby był aresztowany przez UB i uciekł

stamtąd. Brał właśnie udział w zasadzce na tych winowców co jechali się ujawniać. Szort wie co z nim na prawdę było. Nie pamiętam niestety jego pseudonimu.

Jak "Gołąb" rozpuszczał nas - miało to miejsce kilka razy - to najczęściej do pary byłem z "Groźnym" albo "Kometą". Na święta m.in. też byliśmy rozpuszczeni. Dostaliśmy po 500 zł każdy na swoje wydatki. Według mnie jednak takie rozpuszczanie nas na święta było błędem ze strony "Gołębia" gdyż właśnie wtedy UB urządzało obławy na nas bo liczyli, że kogoś złapią w jakimś domu. Wydaje mi się, że wtedy właśnie należało być w grupie, całym oddziałem. Wystarczyło przecież, że złapali by jednego i ten podałyby miejsce, gdzie cały oddział ma się zebrać i już było by po sprawie. Zrobiliby obławę i wszystkich by mieli. Najczęściej taki punkt zborny to mieliśmy w Miecikach albo Kopkach. Na podwórzu jednego z gospodarstw była taka, do połowy wystająca z ziemi, kamienna piwnica na ziemniaki. To zamknę się tam i śpię sobie na tych kartoflach.

Raz z jednego miejsca i poszedłem w swoje strony. Potem jak wróciłem to gospodyni mówi: Tylko pan wyszedł, zaraz UB przyszło. A ja wtedy u tej gospodyni byłem trzy dni. Albo przypadek albo ktoś doniósł.

Uzbrojony byłem w "Mauzera" z "Garłaczem" no i "Nagana" jeszcze miałem. "Gołąb" miał czeskiego "Bergmanna" x na mauzerowską, wzmocnioną, amunicję. Miał daleki zasięg. Magazynek w kształcie rożka zakładany od dołu. "Groźny" nosił erkaem, "Kometa", ten z Chojewa, i "Wysoki". Cztery erkaemy mieliśmy. No i pepesze. Ja byłem amunicyjnym "Komety". Dyski nosiłem. Nieraz to jak się zmęczył to i erkaem nosiłem. "Kometa" to miał dobrego cęla. Raz jechaliśmy sankami we dwóch przez las. Ja wtedy to miałem bujne, blond włosy. Chodziłem w berecie to

ludzie nieraz mówili: O kobieta idzie. No i najechaliśmy na milicję czy co. Też jechali na sankach tyle że w przeciwnym kierunku. Było ich tylko kilku. Natychmiast zawróciliśmy sanki i "Kometa" zaczął ostrzeliwać się z erkaemu. Oni też zawrócili ale nie mieli za bardzo z czego strzelać bo mieli tylko pepesze a nich po jednej dłuższej serii nagrzewała się lufa i już nie było żadnego strzelania. "Kometa" dobrze im tam po sankach posunął. Szybko staraciliśmy się z oczu.

Spisał ~~Wagrak~~ we wrześniu 1991 r. Jerzy Kulak